№ 39 Warszawa, dnia 18 (30) Września 1882 roku.

TYGODNIK MÓD
I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr. 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

Z końcem kwartału przypominamy ponowienie prenumeraty na czas dalszy, a co najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi.

Cena prenumeraty na **Tygodnik Mód i Powieści** wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI.

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . . rs. 1 k. 25.
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Widok** Nr. **3.**

SZKICE EGIPSKIE.

Z OPISU MALARZA LEPIC.

Streszczone przez

Sewerynę Duchińską.

Miasto Kair. — Pałac Paszy. — Harem. — Strażnicy honoru. — Kobiety z ludu Fellah. — Stróże porządku. — Psy i krogulce. — Shonbrah: miejsce przechadzki pod cieniem sykomorów. — Saisy. — Muzeum Bonlacq. — Mumie Faraonów. — Osły. — Nowoczesne zwaliska. — Szakale, kruki i chmary gołębi. — Wspomnienia o Francuzach w Egipcie. — Stary Arab i Kebir. — Napisy. — Pustynia na płaszczyźnie i w górach. — Fauna egipska. — Wielbłądy, woły i bawoły. — Wodne ptactwo: orły i sępy. — Lwy, nosorożce i hippopotamy. — Krokodyle. — Nekropolia zabalsamowanych krokodylów.

(Dalszy ciąg.)

Obraz pustyni, skreślony piórem pana Lepic, przedstawia się bardzo żywotnie i malowniczo.

„Kto nie widział pustyni, mówi on, nie łatwo sobie wyobrazi tę przestrzeń bez śladu roślinności, nieprzecięte najmniejszym strumieniem. Po lewej stronie Nilu, to płaszczyzna bez granic i bez końca. Na tle widnokręgu piaski tylko i piaski i błękit żadną nie przecięty chmurką i ognista bryła słońca, tocząca się po niezmierzonej przestrzeni.

Stosy kamieni, zakreślają szlak przez pustynię. Każdy podróżny obowiązany przynieść tu jeden kamień lub cegłę i położyć je w miejscu wskazanem. Gdzie niegdzie bieleją ogromne stosy kości, to legowisko osłów i sępów. Stosy te podnoszą się coraz wyżej z każdym rokiem, zgarniają tu bowiem szkielety ludzi i zwierząt spotykane po drodze. Gdy Arab ma zabić osłabłego w drodze wielbłąda, spełnia tu krwawą tę konieczność.

Opowieści o zasypanych piaskiem karawanach, są raczej wymysłem wyobraźni, niż rzeczywistością. Kiedy zadmie wiatr *Canzin*, karawana przystaje w miejscu, nie żeby miała być zasypaną, ale że tumany piasku, zasłaniają przed nią dobroczynne drogowskazy.

Bywają także pustynie zielone, zarosłe trawą i krzewiną. Pomiędzy Sudanem a morzem Czerwonem w blizkości Abissynii, droga ciągnie się przez ogromną płaszczyznę, pełną iglastych zarośli, podobną do węgierskiej puszty i ukraińskich stepów. Wielka tu obfitość zwierzyny a przez większą część roku pasterze wypasają tu trzody swoje.

Ze wszystkich rodzajów pustyń, te które ciągną się pasmem gór, najsmutniejszy przedstawiają obraz i najtrudniejsze do przeprawy. Upał tamuje oddech, promienie słońca, odbite o skały, palą w najstraszliwszy sposób. Od Nilu do morza Czerwonego drogi ciągną się parowami, są to wyschłe koryta rzek, które tworzyły niegdyś kotlinę Nilu i zasilały szerokie jego łoże. Świadczy o tem wielka moc ukrytych w piasku muszel.

Któżby powiedział, że po tych pustyniach ziemia nadzwyczaj bogata i żyzna, utworzona bowiem z nilowego mułu spalonego na popiół. Dość najmniejszego deszczyku albo rosy, aby ziemia pokryła się bujną roślinnością, potrzeba tylko wody, wnetby tu wyrosło najpiękniejsze zboże.

„Pustynia dziełem jest niebaczności ludzkiej, mówi autor, człowiek wytrzebił lasy, tym sposobem zatrzymał deszcz i rosę, trawa przerzedziała, pomału całkiem znikła. Zabrakło źródeł, rzeki wyschły, żyzne pola stały się głuchą pustką. Ale człowiek może naprawić mozolną pracą to, co

zniszczył, może podbić pustynię. Powinien przedewszystkiem oddalić owce i kozy, te wrogi wszelkiej roślinności.

Widok tych przewrotów w świecie fizycznym, wypisanych łożyskami wyschłych rzek, daje zrozumieć świetność starożytnego Egiptu. Kiedy powstawały owe pomniki, świątynie, pyramidy, budowane przez ludzi białego plemienia, wówczas żyzna gleba musiała zapewniać tubylcom dobrobyt, bez którego kraj nie byłby mógł zostać ogniskiem cywilizacyi tak wysokiej i różnostronnej jaką była cywilizacya egipska! A kiedy ówczesny stan ziemi z jej bujną roślinnością zbadanym zostanie i przyczyna pustyni dokładnie określoną, wtedy łatwo przyjdzie naprawić skutki nieoględności ludzkiej, systematycznem nawodnieniem tych wyschłych na słońcu obszarów. Tak osądzili rzecz inżynierowie i geologowie, składający wyprawę a wysłani z Paryża, dla zbadania kotliny Nilu.

Teoryą, poświadczają porównaniem. Za czasów wielkich Faraonów, kiedy kwitły miasta Meroe, Ipsambul, Theby, Memfis, Nopata, wówczas Nil użyźniał 20,000,000 hektarów ziemi, za dni naszych, gleba uprawna, wynosi zaledwie 2,500,000.

Ciekawy ustęp poświęca p. Lepic faunie egipskiej. Zaczyna od wielbłąda, który tak ważną gra rolę w pochodach przez piaski pustyni. Utrzymywano błędnie, mówi on, że dromader różni się od wielbłąda podwójnym garbem na grzbiecie. Tak przecież nie jest; między jednym a drugim żadna nie zachodzi różnica, podwójny garb osobnego nie stanowi gatunku. Zwierz zowie się welbłądem, gdy używany pod juki, gdy zaś służy pod wierzch, nazwany wtedy jest dromaderem. Wielbłądy z dwoma garbami znajdują się tylko na równinach wyższej Azyi, na pustyniach Tybetu, zarówno jak w Azyi mniejszej, egipskie jednogarbowe odznaczają się wielką wytrwałością, częstokroć całem ich pożywieniem, są kawałki twardego drewna, znajdowane po drodze. Rankiem, gdy ładują na nie ciężary, biedne zwierzęta żalą się głuchym jękiem. Gdy zanadto zmęczone drogą, kładą się na ziemi, nie postąpią dalej ani kroku. Przewodnicy mają o nich troskliwe staranie, obchodzą się z nimi bardzo łagodnie, ale biada temu, ktoby chciał rozdrażnić je nieludzkiem obejściem, zwierz gotów potratować go i rozszarpać zębami.

Postać wielbłąda zazwyczaj ponura, dromader zato przedstawia się żwawo i łagodnie. Kto go chce kupić pod wierzch, odbywa naprzód próbę: wsiada nań trzymając w ręku szklankę pełną wody i żywym pomknie kłusem. Jeźli dobieży do mety, a woda pozostanie w szklance, snać dromader doskonale ujeżdżony. Wtedy podróżny pewien, że może spać na jego grzbiecie spokojnie, jakby w łóżku.

Nic ciekawszego jak targ na wielbłądy w Kairze, lub w innem wielkiem mieście. Niekiedy można ich widzieć do kilku tysięcy różnej maści, rozmaitego wzrostu. Zdarza się czasem, że na tę gromadę padnie jakiś paniczny postrach, wtedy zrywają się, galopują na oślep, wywracają wszystko co im stanie na drodze. Trzeba niesłychanego wysilenia, aby je spędzić razem.

Wielbłąd rzadko kiedy kończy życie zwyczajną śmiercią, zabijają go gdy służyć już nie może. Przeczuwa on zwykle chwilę stanowczą, gdy śmierć zbliża się, płacze jak małe dziecko, z oczu jego płyną łzy, z piersi wybiega łkanie, zda się błagać o litość. Ale Arab serce ma twarde; widok ten wcale go nie porusza, z zimną krwią zabija wiernego sługę, gdy staje się bezpożytecznym.

Z domowych zwierząt, dwa gatunki wołów znane są w Egipcie, jeden gatunek bardzo piękny zachował jeszcze typowe cechy starożytnych Apisów. Widzieć go można na pastewnikach przesiąkłych wilgocią, niezbędnie potrzebną mu do życia. W wyższym Egipcie woły mają grzbiet opatrzony garbem. Im większy garb, tem zwierz zdrowszy i wytrwalszy w pracy a zatem popłatniejszy; narośl ta bowiem powstaje wskutek rozszerzenia płuc i wielkiej ilości nagromadzonego w nich powietrza.

Obok wołów, do pracy w polu, używane tu są i bawoły, ale mięso ich tak cuchnące, że go używać niepodobna. Wydają tak odrażającą woń, iż jadąc przez wieś, trudno odetchnąć pełną piersią. Odzież Fellahów na wskroś przesiąkła niemi.

Od domowych zwierząt, autor przechodzi do zwierzyny, której wielka obfitość, przy ułatwionych dziś podróżach, przyciąga do Egiptu zawołanych Nemrodów europejskich.

Kraj ten obfituje szczególniej w ptactwo wszelkiego rodzaju. Przepiórki gromadzą się tysiącami, zręczny strzelec w przeciągu dwóch godzin może zabić sto bez trudności. Kuropatw także mnóstwo. Niczem to jednak w porównaniu wodnego ptactwa. Pelikany, ibisy, flamandy, czajki, żórawie, czaple, dzikie kaczki i gęsi, cyranki, bociany i t. p., tworzą różnobarwne kępy na rzece, a gdy się unoszą w powietrze, przyćmiewają słońce skrzydłami swemi. Niekiedy na lazurowem tle nieba, widzisz jakby tuman pary ciągnący się wężykiem, to ibisy przebiegają z legowiska na drugie legowisko.

Nad Nilem bociany ciągnąc jeden za drugim, tworzą olbrzymią wstęgę, długą na kilkaset metrów. Szare wrony pokrywają całkiem palmowe drzewa wkoło domostw, w górach zaś kryją się chmary czarnych kruków, zwanych krukami Noego. Gołębie i turkawki, gnieżdżą się po miastach, z ogromną chmarą wróbli. Podczas żniw miliony tych ptasząt spada z przeraźliwym krzykiem na pola, gdzie zrządza wielkie szkody. Niepodobna opędzić się przed niemi.

Gołębie tak jak psy, nie mają wcale panów. W średnim i wyższym Egipcie, nad każdą wioską, sterczą wysokie wieże, puste wewnątrz, zbudowane z cegły, opatrzone długiemi gałęziami. Tu lęże się tysiące gołębi. Krajowcy nie jadają ich wcale, równie jak i zajęcy, chodują je tylko dla cennego nawozu, nader popłatnego w wyższym Egipcie.

Od pierwszej dopiero katarakty zaczynają się prawdziwe polowania. Z nieżywym baranem, można przez dzień ułowić mnóstwo orłów, sępów i krogulców. W górze Nilu ku Albarah, zdarza się często napotkać śpiącego krokodyla, a po za Karthum, w lasach za bagnami, spotkanie z nosorożcem, hippopotamem, lwem i panterą, dostarcza silnych wrażeń zagorzałym myśliwcom.

Łowy te w Sudanie, nadzwyczaj niebezpieczne, niejeden amator okupił je życiem. Do najgroźniejszych zwierząt należy także dziki bawół; napadnięty rzuca się wściekle na człowieka; powala go i na śmierć tratuje.

Równie strasznym jest nosorożec. Ten potwór z podwójnym rogiem na nosie, w grubym twardym pancerzu, zdaje się na oko ciężki i nieruchomy, ale pozory mylą. Zaczepiony, zrywa się rączo z miejsca, goni trop w trop za łowcem, jedyna rada wskoczyć na wzgórze, tu ciężki zwierz nie łatwo się wygramoli.

W łowach na słonia, tubylcy używają szerokiej szablicy, z rękojeścią w kształcie krzyża, jakiej używało rycerstwo Ludwika świętego, model jej datuje zapewne od krucyat. Szablicę tę, jedną ręką trzymają za głownię, drugą poniżej, za ostrze, okręcone sznurkiem rzemiennym. Łowiec ukryty w zasadzce, usiłuje podciąć nogi zwierza, który wstrzymany w pochodzie, łatwym staje się łupem.

Hippopotamy bardzo powszechne w Sudanie. Aby powalić z nóg olbrzyma, potrzeba trafić go kulą w czoło lub oko. Ugodzony, podczas gdy płynie, idzie natychmiast na dno. Wtedy strzelcy czuwają nad brzegiem, a gdy w kilka godzin zwierz ukaże się na powierzchni, wyciągają go na ląd, trzeba na to stu co najmniej negrów.

Belgijczyk Elzen zabił w tym roku ogromnego hippopotama, głowę jego zabrał do Brukselli, otóż ta głowa rozdzielona na sztuki, stanowiła ładunek dwóch wielbłądów.

Lew tutejszy różni się tem od innych, że nie ma wcale grzywy. Niegdyś istniały tu lwy płowe, z czarnemi grzywami, te należą do rzadkich osobliwości.

Arabowie mało zajmują się polowaniem; trzymają sokoły w namiotach swoich, ale raczej dla parady niż dla rzeczywistego użytku. Murzyni zato, żyją po lasach, w bezustannej pogoni za dzikiem zwierzem. Odważni i zręczni w zapasach, używają do łowów strzał i włóczni, zaprawionych trucizną.

Hyeny i szakale krążą wszędzie, łatwo spotkać się z niemi na każdym kroku. Nocą włóczą się wkoło ognisk i wydają krzyk przeraźliwy. Pełno tu również gazelli i antylop. Wieczorem na pustyni, całe ich gromady zbierają się w blizkości zdrojów.

Po zwierzętach następują ryby.

Ze wszystkich rzek na świecie, mówi autor, Nil jest niewątpliwie najobfitszy w ryby wszelkiego rodzaju. Tubylcy nie dbają wcale o nie; ten wstręt araba odnosi się do czasów starożytnego Egiptu. Uważano wtedy, że niektóre gatunki szkodliwie działały na zdrowie, sprowadzały wysypki i różne cierpienia. Zabroniono więc użycia wszelkich ryb; tradycya ta przechowała się dotąd. Cudzoziemcy tylko utrzymują rybołówstwo na Nilu.

Łowią ryby zazwyczaj nocą, zapuszczając w głąb' rzeki długi sznur zakończony haczykiem. Rankiem dobywają z wody przepyszną zdobycz. Ogromne te ryby odznaczają się dziwnym kształtem, na nosie i wargach mają narostki mięsne, które nadają im fizyognomią podobną do twarzy Chińczyka albo Japończyka. Mięso ich bardzo smaczne.

Jest jeszcze w Nilu szczególna ryba, wydobyta z wody, zapełnia się powietrzem i przybiera kształt kuli najeżonej kolcami. Dzieci bawią się nią jak piłką. Są tu niemniej różne odmiany torpilli elektrycznych. Co do drobnych rybek, obfitość ich tak wielka, że czasami odmieniają kolor wody. Kiełbiki można poprostu czerpać rondlem.

Na starożytnych malowidłach, widać różne gatunki ryb z epoki pierwotnej, oddane z wielką dokładnością. Wszystkie te ryby przechowały się w Nilu od czasu Faraonów. Zbiór ich zamienia rzekę w prawdziwe muzeum. Uczeni europejscy tworzą ciekawą kolekcyą z tych okazów, istniejących tylko w Egipcie.

Ryby tu za bezcen. Używają ich nieraz zamiast nawozu, co w odrażający sposób zapowietrza ogrody.

(*D. n.*)

Do młodego pracownika.

Audiatur et altera pars.

Śmiało naprzód, chłopcze mój,
Po bezbrzeżnej życia fali...
Chociaż ciężki z nędzą bój,
Nędza śmiałka nie obali...

Kto rozważnie stawia krok,
Idąc z myślą o swym celu,
Ten nie zejdzie z drogi w bok,
I nie zbłądzi pośród wielu...

Kto odczuwa wiedzy czar,
Co już młodą myśl owiewa,
Nie pożąda złudnych mar,
I szalonych chwil nie miewa...

W czyjej duszy wyższy głos,
Złożył prawdy zwiastowanie,
Ten wytrzyma wszelki cios
I wciąż walczyć nie przestanie...

Jeśli moc tę Bóg ci dał,
Idź i pracuj w Imię Boże,
A w pustyni czy śród skał,
Bóg ci zawsze dopomoże...

Niech ta wiara krzepi duch,
Gdy cię walka obezsili...
Kto wszechbytu poznał ruch,
Do rozpaczy się nie schyli...

I nie zwątpi, że ten prąd,
Co byt żywi i wciąż zmienia,
Nie jest ślepy, lecz ma wzgląd
Na najmniejsze swe stworzenia...

Nie myśl jednak, żeś już zuch,
Kiedy poznasz co zbadane:
Z wielką pracą ludzki duch,
Dziś zaledwie zbiera dane...

Zagadkowym jest nasz byt,
Niedokładną wiedza nasza,
Więc nie ufaj temu zbyt,
Co za prawdę ktoś ogłasza...

Bo już nieraz płytki sąd,
Wyprowadził wiedzę w pole,
A zawzięcie broniąc błąd,
Trzymał ludzi w błędnem kole...

Szanuj wiedzę jako kwiat,
Najszczytniejszej pracy ducha,
Która zdobiąc ludzki świat,
Krzepi umysł, jak otucha...

Lecz pamiętaj, że to płód
Ludzkiej myśli i sądzenia,
I że wiele wiele złud,
Nam zaciemnia tło widzenia...

Powódź sprzecznych, dziwnych zdań,
Niech twój umysł nie zastrasza:
Świat złudzeniom płaci dań
I złudzenia swe rozprasza...

W tem przezorność cała tkwi,
By ułudzie nie dać wiary;
By otworzyć prawdzie drzwi,
A błąd zniszczyć... bez ofiary...

Czcza szermierka zręcznych słów,
Niech cię nigdy nie zaślepia:
Na pociechę ciasnych głów,
Myśl w formułkach się zasklepia...

Bo któż poznał całość praw,
Co wszechbytem wciąż kierują?
Kto oznaczył ilość spraw,
Które w bycie tym nurtują?...

Nieskończoność nie zna tam,
Ani granic określenia...
Wolno jednak tworzyć nam,
Sztuczne wzory dla myślenia...

Lecz pamiętaj: żaden wzór,
Całej prawdy nie zawiera;
Bezowocny toczy spór,
Kto przy wzorze się upiera...

W czyjej głowie siedzi ćwiek!
Zmyślonego systematu,
Choćby przeżył nawet wiek,
Jasnej prawdy nie da światu...

Chcesz-li badać zjawisk treść,
W sposób mędrca zawsze godny,
Do swych badań musisz wnieść,
Umysł trzeźwy i swobodny...

Nie zamykaj jednak ócz,
Na krańcowe zagadnienia;
Owszem śmiało mów i ucz,
Że są rzeczy bez imienia...

Że są sprawy w świecie tym,
Przez nas jeszcze niepojęte,
Co jak para, mgła lub dym,
Wciąż znikają nieujęte...

To poskramia dumny ton,
Co półgłówków tych cechuje,
Którym szczupły wiedzy plon,
Trzeźwość myśli odejmuje...

Niech więc mowa twoja brzmi,
Bez wybryków zuchwałości,
Bo zuchwałość umysł ćmi
I uchyla od mądrości...

Nie popychaj ciemny tłum,
Do niewiary i zgorszenia,
Bo niepewność ludzkich dum,
Nie zastąpi mu wierzenia...

Lecz rozkiełzna tylko chuć,
Co gdy sobie pofolguje,
Zdoła burzyć, niszczyć, psuć,
Ale ładu nie zbuduje.

Nie rozgrzeszaj przeto mas,
W imię wiedzy niedojrzałej,
I co wieków tworzył czas,
Nie burz w chwili zagorzałej...

Smutna sława, smutny los,
Wszelkich w świecie burzycieli:
Mogą niszczyć, zadać cios,
A nic stworzyć, choćby chcieli...

Po spełnieniu złudnych prób,
Wpływ fatalny się urywa:
Z jękiem przekleństw schodzą w grób —
Wzgarda pamięć ich okrywa...

Strzeż się przeto krętych dróg,
Co prowadzą na rozdroże:
Kto przekroczy hańby próg,
Plamy pozbyć się nie może...

O bądź czystym, chłopcze mój,
I w swych czynach nieskalanym;
Gdzie powinność każe, stój
Z przekonaniem niezachwianem...

Gdy zapragniesz sławę mieć,
Nie myśl w pracy o niej wcale,
Wszelką blagę z siebie zmieć,
I dla dobra pracuj stale...

Niech twój jasny, młody wzrok,
Żadnym blichtrem się nie nęci;
Niech twój każdy w życiu krok,
Płynie tylko z zacnej chęci...

Zawsze myśl i zawsze dąż,
Jako człowiek iście prawy:
Niech twój duch ogrzewa wciąż,
Szczera miłość dobrej sprawy...

Walcz wytrwale z wiarą tą,
Że nic prawdy nie zwycięży,
Że nad każdą mocą złą,
W skutkach czynu pomsta ciąży...

Życie wre... nurtuje złość...
Prąd unosi coraz chyżej...
Wszędzie zdrad i pokus dość...
Łatwo zbłądzić w ludzkim wirze...

Lecz kto zdoła mocno stać,
Przy tej prawdzie, co nie minie,
I świadectwo cnocie dać,
Wierz mi, marnie tu nie zginie...

Więc odważnie, chłopcze mój,
Płyń po chwiejnej życia fali...
Chociaż ciężki z nędzą bój,
Zacny tryumf czeka w dali...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

Z OPOWIADANIA REZYDENTA.

POWIEŚĆ.

Napisała

ZBIGNIEWA ZMORSKA.

(Dalszy ciąg.)

W istocie źle patrzący, mogli ten stosunek uważać za czysto koleżeński i sąsiedzki. Ksenia nie

rumieniła się gdy Eugeniusz wchodził do pokoju, nie spuszczała oczu pod spojrzeniami jego, oczu ognistych, nie traciła humoru i swobody w jego obecności, nie smutniała kiedy odjeżdżał, ani tęskniła jeśli przypadkiem nie przyjechał kilka dni dłużej.

Ktoby przecież był uważał baczniej, mógł był dostrzedz łatwo, że dziewczyna wiedziała którego dnia przyjedzie malarz, choć jej nikt tego nie powiadał; że pierwsza zawsze wypatrzyła siwe konie Budzyńskiego, u którego Skrzyński bawił ciągle stale, że twarz jej rozjaśniała się wtedy promiennym jakimś blaskiem i osiadał na niej wyraz spokojnego, szczerego zadowolenia, z którym wychodziła na jego przywitanie. Następnie siadała obok fotelu ciotki, słuchając opowiadań Eugeniusza, który zająwszy taboret po drugiej stronie Jenerałowej, bawił staruszkę wesołą pogawędką, albo ująwszy ołówek w rękę przeglądał rysunki Kseni, które znosiła mu stosami całemi, zaznajamiając ją z tajnikami techniki, łagodząc i wydelikatniając mistrzowskiemi rysami nieco jeszcze szorstki rysunek młodej artystki, prowadząc i rozwijając ten młody talent z zamiłowaniem wytrawnego artysty i przyjaciela.

Oprócz tego w całej powierzchowności Ukrainki zaszła teraz pewna zmiana. Moja cudowna dziewczynka nie straciwszy nic z humoru, fantazyi i oryginalności, rozwinęła teraz jakiś wdzięk nowy: przybył jej rys jakiś, niedojrzany okiem i nie dający się określić w czem leży mianowicie, ale przebijający się w całej jej istocie i w wyrazie twarzy silnie i wyraźnie. Było to coś nieokreślonego i nieujętego, co obwiewało ją całą niewypowiedzianym urokiem. Długo przyglądałem się mej faworytce, starając się określić sobie co w niej zmieniło się mianowicie, i po długich obserwacyach zdołałem orzec to tylko: że chyba zbyło jej nieco kozaczyzny, tego czegoś, co zwała w sobie słusznie mołodziectwem, co stanowiło dotąd głównie tło jej postaci, a teraz zastąpionem zostało do pewnego stopnia słodyczą i łagodnością czysto kobiecą, która niewiedząc zkąd rozwinęła się nagle w wnętrzu jej moralnego „ja", odbijając się wyraźnie w każdym jej ruchu, uśmiechu, spojrzeniu oczu! Widocznie w tem dziecku budziło się coś, co spało dotąd zaklęte na dnie jej duszy, a co odrazu zmieniało je w kobietę. Takiej gwałtownej przemiany dokazać tylko mógł talizman jeden — patrząc też na Ksenię niepodobna było wątpić, że kocha. Była to miłość czysta, niewinna, idealna, nieświadoma siebie samej. Tak kochać mogą już tylko takie świeże, poetyczne, bujne natury stepowe, jaką była nasza sierota z Połtawskiego stepu! Pomimo niechęci i smutku, jaki budziło we mnie to uczucie, patrzałem na nie z podziwem i uwielbieniem, jak na kwiat rzadki, rozwijający się w mych oczach niepospolicie i zachwycająco.

Mirski przez cały czas ten bywał nieprzerwanie i bardzo często. Osiadłszy w Woli, stał się codziennym naszym gościem. Tak my, jak ludzie nasi uważaliśmy go prawie za domownika, a kasztanowaty jego Haspid, co wieczora głośnem rżeniem witał znajomy taras pałacowy i odchodził sam do stajen, gdzie wiedział napewno, że czeka go już przygotowana racya owsa w żłobie.

Nie mieliśmy nigdy chwil milszych jak owe wieczory, które spędzaliśmy w towarzystwie młodego naszego sąsiada. Jenerałowa powitawszy Stefana i porozmawiawszy z nim chwilę, nie chcąc więzić nas przy swem krześle, w dusznym pokoju, pod pozorem wieczornej modlitwy z księdzem kapelanem, wypędzała nas na świat. Siadaliśmy wówczas na ganku, albo rozbiegali się po alejach parku, albo najczęściej dosiadaliśmy koni i wybiegali dwie i trzy mile od domu, zapominając o przeciągu czasu i przestrzeni którąśmy przebiegli przy poważnej, rozumnej rozmowie z naszym młodym gościem.

Mirski nie starał się nigdy bawić panny lekką, powszednią, przystępną dla płytkich umysłów rozmową; podług niego dla umysłów kobiecych powinno było wszystko być przystępnem zarówno jak dla męzkich. Nie trzymał się wcale zasady głoszonej przez mężczyzn niektórych: „jeśli chcesz nie znudzić kobiety, unikaj w rozmowie z nią rzeczy poważnych i surowych" i nie zważając na obecność naszych młodych towarzyszek, ani się troszcząc czy je to znudzi, lub zabawi, mówił najczęściej o rzeczach bardzo seryo, poruszając bardzo ważne i głębokie kwestye społeczne i traktując je wyczerpująco. Starał się tylko, aby słowa jego były jasne, proste i zrozumiałe i przeplatał je dowcipem wrodzonym, rozumnym i spokojnym.

Widziałem, że dziewczęta znajdowały upodobanie w tych spokojnych pogawędkach z naszym inżynierem — przyznawały, że po każdej jego bytności czują się jakoś rozumniejsze, i choć Ksenia, która nazywała zawsze Mirskiego: oxfordzkim profesorem, twierdziła sprzecznie że słucha tego wszystkiego dlatego tylko, żeby pokazać, że nie przeceniono umysłów kobiecych, przyznając im zdolność pojmowania rzeczy poważnych.

Wycieczki te nasze piesze i konne, traciły tylko wówczas swój poważny charakter i pozbawione były ogólnej harmonii, kiedy przyjeżdżał Eugeniusz i na piątego przybywał nam towarzysza. Wówczas towarzystwo całe było rozerwane; Ksenia zajęta obecnością malarza, olśniona jego humorem, zapominała o wszystkiem cokolwiek jest poważnego na świecie, Stefan milcząc palił papierosa, a ja zły i kwaśny, patrzałem z kolei bezradny, to na śmiejącą się i rozpromienioną Ukrainkę, to na czarnobrodego artystę, który zawsze potrafił opanować rozmowę, to w końcu na Mirskiego, którego spokój i flegma, przy takim stanie rzeczy, zaczynały mnie już czasem gniewać.

Widząc jak Skrzyński blichtrem salonowym i efektami, czaruje moją cudowną dziewczynkę, zarzucałem prawie Stefanowi zbytek powagi i refleksyi. Powiedziałem mu to kiedyś, radząc, aby koniecznie pozbył się choć w części swej powagi i starał się więcej przypodobać pannie!

— Alboż nie staram się o to? — zapytał.

— To prawda, na swój sposób — pamiętaj przecież, że Ksenia ma lat szesnaście i powinieneś choć trochę starać się nastroić do jej humoru i usposobienia.

Roześmiał się.

— Pragniesz widzę zrobić mnie blagierem, jak Skrzyński?

— Jeśli blaga na co przydać się może, to nie zawadzi użyć jej jako środka.

Spoważniał nagle.

— W takim razie i moje uczucie musiałoby stać się blagą — odrzekł krótko.

Razu pewnego powróciliśmy z jednej z takich wycieczek bardzo późno. Było to już w końcu kwietnia; powietrze po niewielkim deszczyku, który spadł po południu, tak było cudne, że długo bardzo nie chciało nam się powrócić do domu. Dawno już nie pograliśmy tak koni, jak tego wieczora i dziewiąta godzina biła już na podwórzowym, umieszczonym na śpichlerzu zegarze, gdyśmy łąką po nad jeziorem dojeżdżali do parku. Byliśmy tuż pod domem, chcąc przecież dostać się do niego, potrzeba było jeszcze objeżdżać bardzo daleko, minąć zabudowania gospodarcze i wjeżdżać od strony szosy główną bramą. Ksenia pierwsza zaproponowała: czyby nie można dostać się do parku tą stroną i natychmiast, nie czekając decyzyi z naszej strony, spiąwszy Burana przesadziła rów i niezbyt wysoki parkan, zachęcając nas abyśmy uczynili toż samo. W minutę wszyscy byliśmy już po drugiej stronie płotu i przez park zmierzaliśmy przed werendę oplecioną bujnie winogradem, z której drzwi szklane prowadziły prosto do salonu. Ponieważ od tyłu pałacu służby wcale nie było i nikt się przyjazdu naszego nie spodziewał od tej strony, musiałem sam sprawować urząd masztalerza i skoro towarzystwo całe zsiadło z koni, ująwszy cugle wszystkich czterech wierzchowców, powiodłem je zwolna ku stajniom. Kiedy w kilka minut, oddawszy konie ludziom, powracałem do pałacu już od frontowej strony, spotkałem w sieniach pannę Skarzyńską, dążącą do swego pokoju, aby uwolnić się z amazonki i męzkiego kapelusza.

Zapytałem jej: czy Ksenia przebiera się także i gdzie pozostawiły naszego gościa?

— Pozostali oboje na werendzie za domem — odparła mi nauczycielka.

Zaspokojony, że naszego gościa nie pozostawiono samego, wpadłem na chwilkę do mej kwatery, aby zrzucić rajtrok i długie buty i wracałem natychmiast do towarzystwa. W chwili gdy przechodziłem przez salon główny zmierzając pod werendę, spotkałem Stefana wchodzącego szklannemi drzwiami od ogrodu: w jednej ręce trzymał słomiany kapelusz, w drugiej szpicrutę, i kiedy się zbliżył do stojącej na stole lampy, spostrzegłem że był nieco blady.

— Gdzie pan idziesz? — zapytałem zatrzymując go.

— Pożegnać Jenerałową — odparł.

— Jakto niedoczekawszy herbaty?

Wskazał głową w stronę werandy i nic nie mówiąc pociągnął mnie do jadalnej sali.

— Chciałem panu powiedzieć, że plan mój nie powiódł się — rzekł zwolna gdy znaleźliśmy się sami.

— W tej chwili prosiłem o rękę pannę Ksenię i odmówiła mi.

Nie wierzyłem nigdy w zbyt pomyślny obrót sprawy Stefana i byłem odrazu przygotowany na takie jej zakończenie, skoro przecież usłyszałem już z ust jego tę smutną prawdę, dziwny smutek uczułem w sercu i stałem długo nie mogąc zdobyć się na żadne słowo, patrząc z żalem na mego młodego przyjaciela, który spokojnie naciągał rękawiczki na ręce.

— Co panu powiedziała?—zapytałem po chwili markotnie.

Słaby uśmiech przebiegł po ustach Mirskiego.

— Najpierw wybuchła szalonym śmiechem sądząc że żartuję, a potem powiedziała mi stanowczo, że przecież jestem od niej starszy o lat piętnaście i zapoważny dla niej na męża.

— Szalone dziecko — rzekłem smutnie.

— Jest jeszcze wielkiem dzieckiem! — odparł Stefan otwierając drzwi do sieni.

— Odjeżdżasz pan? — zapytałem.

— Tak — rzekł — jest już późno, a na jutro mam bardzo wiele do czynienia i będę musiał być na nogach bardzo rano.

Nie śmiałem zatrzymywać go, wyszliśmy do sieni i posłali służącego do stajni po Haspida.

Byliśmy obaj tak smutni, że stojąc przy sobie blizko przez kwadrans, nie przemówiliśmy ani słowa, dopiero kiedy koń stanął przed gankiem i zeszliśmy ze wschodów, objęliśmy się i uściskali serdecznie.

— Nie wrócisz pan więcej? — zapytałem Stefana w chwili gdy zbierał już cugle na szyi konia.

Obrócił do mnie głowę, trzymając już nogę w strzemieniu.

— Dlaczego? Stosunek sąsiedzki powinien pozostać nienaruszony, w jednych granicach.

Uścisnąłem gorąco dłoń młodego człowieka i stałem na miejscu z dziwnem uczuciem patrząc za długim cieniem jeźdźca i konia, przesuwającym się stępo w świetle księżyca, pomiędzy kląbami, otaczającemi zajazd, i dopiero kiedy za bramą skręcił na szosę i puścił się po niej żwawym kłusem, zawróciłem i przeszedłszy puste pokoje udałem się prosto na werandę ogrodową.

Ksenię zastałem tam jeszcze: siedziała na najniższym wschodzie werandy, tak jak zsiadła z konia w amazonce i ze szpicrutą w ręku. Kapelusz męzki z błękitną woalką porzucony leżał obok niej na wschodach a jasne włosy rozrzucone i potargane skokami Burana, otaczały w blasku księżyca jak aureolą główkę dziewczyny. Ukrainka zaplecione dłonie zarzuciła na kolana i oparłszy głowę o filar opleciony splotami winogradu, siedziała pod festonami zielonych liści spokojnie i z rozmarzeniem pewnem patrząc w ogród zalany srebrzystem światłem księżyca. Usiadłem obok niej na wschodach; z daleka słychać jeszcze było dźwięki podków Haspida, uderzających wśród ciszy nocnej o kamienie zwirówki.

— Co pani zrobiłaś? — zapytałem patrząc z zajęciem w spokojną, rozmarzoną twarz dziewczęcia.

Obróciła na mnie swoje wielkie oczy.

— Co takiego? — rzekła ze zdziwieniem.

— Czy wiesz pani, że zrobiłaś dzisiaj rzecz, której może żałować będziesz przez całe życie?

Ruszyła lekko ramionami i odwróciwszy oczy zapatrzyła się znowu z lekką zadumą w szafirowe, błyszczące miliardami gwiazd niebo.

— Ah, mówisz pan o Mirskim? — rzekła od niechcenia. — Mogę zapewnić, że gdyby przyszedł jeszcze prosić o mą rękę dziesięć razy, za każdą razą odpowiedziałabym mu to samo co dzisiaj i nie pożałowałabym tego ani przez jedną sekundę.

— Dziecko z pani jeszcze kompletne—rzekłem jej markotnie.

Dziewczyna spojrzała na mnie żywo.

— Dlaczego nazywasz mnie dzieckiem? Czy sądzisz, że nie wiem co uczyniłam? Wiem bardzo dobrze czego pragnę, nie chcę takiego męża jak Mirski, i jeśli przez całe życie takich tylko mieć będę konkurentów, to z pewnością zostanę starą panną!

— Cóż masz pani przeciwko niemu?

Ksenia wybuchła głośnym śmiechem.

— Mój stary — rzekła opierając się na mem ramieniu i patrząc mi w oczy figlarnie. Znasz mnie dobrze, i nikt tak dobrze jak ty! Zestaw mnie w myśli z Stefanem i powiedz, jakaby to z nas była para? Co jabym robiła z takim mężem, który kiedybym się śmiała, wykładałby mi ekonomią polityczną; kiedybym płakała, obliczałby ile stóp kubicznych ziemi wyrzucić trzeba chcąc osuszyć jedną morgę kwadratową błota. Gdybym znów mówiła mu o mojej miłości, pozostałby chłodny i sztywny, obliczając podług cyrkla i figur algebraiczno-geometrycznych, wypadłej z obrachunku uncyi lub grama. Brr! być przywiązaną na zawsze do takiego rozumnego, nieomylnego człowieka, któryby nie rozumiał mnie i nie czuł tego co ja czuję! z którym nawet posprzeczaćby się nie można, bo cokolwiekby uczynił, byłoby rozumne i doskonałe, to okropne! to możnaby się na śmierć zanudzić. Widzę że patrzysz na mnie jak na waryatkę i gotów jesteś zacząć mi dowodzić, że to człowiek jakich mało, że to wzór dla młodzieży, że to obywatel właśnie jakich nam potrzeba. Mój kochany nie trudź się daremnie. Ja to wszystko wiem wybornie, szanuję go, uwielbiam, lubię nawet bardzo: gdybym była królową oddałabym mu rządy państwa w ręce, gdybym była ministrem oświecenia, zrobiłabym go rektorem uniwersytetu pierwszego w kraju, jeśli wyjdę zamąż, pragnąć będę aby synowie moi podobni byli jemu, ale na męża! zlituj się mój stary, nie wspominaj mi o tem nigdy, nie mogę o tem myśléć i gdybyście chcieli mi narzucać coś podobnego, to uciekłabym od was i nie oparła się jak na moim hutorze, u Hordija i Warwary.

— Uspokój się pani—rzekłem jej markotnie—nikt tu nie myśli woli twej krępować. Stało się już, odmówiłaś. Chciałbym tylko żebyś wiedziała, ze odpędziłaś w tej chwili od siebie człowieka, jakiego nie każdej kobiecie danem jest spotkać choć raz w życiu, rozumnego, dobrego, mocnego, któryby ci dał szczęście pełne, niezawodne i kochał cię prawdziwie.

Ukrainka patrzała na mnie wielkiemi oczami, poważniejąc stopniowo.

— Czy sądzisz pan, że pokochał mnie naprawdę? — zapytała łagodnie swoim melodyjnym głosem.

— Wiem, że pokochał cię tak, jak już może nie będzie cię kochał nikt drugi.

Dziewczyna spuściła głowę i siedziała chwilę zamyślona.

— Biedny! rzekła po chwili dziwnie miękko i rzewnie — postąpiłam z nim bardzo źle i niesumiennie. Nie powinnam była śmiać się gdy mi to mówił. Ale nie spodziewałam się nigdy tego... był zawsze taki poważny, taki rozumny; choć bardzo dobry dla mnie i pobłażliwy, uważałam go prawie tak jak ciebie i kiedy nagle poprosił mnie o rękę, wydało mi się to tak śmiesznem, jak gdybyś ty mój staruszku stanął przede mną i ni ztąd, ni zowąd, wyznał mi swą miłość!

Oparła głowę o filar i z zamyśleniem ścigała oczyma lekkie obłoczki przepływające zwolna po jasnem lazurze nieba.

— Tatku — rzekła po chwili z zadumą — czy miłości może być kilka rodzai? Powiadasz, że Mirski kocha mnie prawdziwie, i musi tak być skoro tak twierdzisz... nie rozumiem przecież jak kochając, można pozostać zawsze tak chłodnym i spokojnym? Czy wiesz, on nawet w chwili gdy mu odmówiłam, pozostał niewzruszonym, ukłonił mi się jak najuprzejmiej i podał mi rękę życząc spokojnej nocy, jak w każdy zwykły wieczór. Nie zastanawiałam się i nie myślałam nigdy nad tem, ale zdaje mi się, że gdybym kochała, to miłość moja wyglądałaby wcale inaczej. Byłoby to uczucie gorące, silne, bezgraniczne, zabierające wszystko, obalające przeszkody wszelkie, całe serce, dusza, wszystkie myśli moje przykuteby były do człowieka ukochanego, każda chwila byłaby myślą, każdy sen mój marzeniem o nim.

Moja Ukrainka nie patrzała już w niebo, patrzyła na ziemię. Błyszczące jak gwiazdy oczy utkwiła w roztaczający się przed nami szeroki krajobraz angielskiego parku, przesłonięty zlekka srebrzystym rąbkiem mgły powstającej z łąk i jezioraj i na cudnej jej twarzyczce odbijała się dziwna mieszanina tęsknoty i ognia razem. Patrzyłem na nią z niepokojem: widziałem, że stanęła w tej chwili u kresu, gdzie się kończy nieświadomość dziecinna.

Oświadczyny Mirskiego posunęły ją niespodzianie na tej drodze, i jeden krok jeszcze a zasłona tajemnicza spadnie z jej oczu i pozna to co dla mnie było wiadomem oddawna. Widząc, że nie cofnę jej już napowrót i nie mogąc znieść dłużej niepewnego wyczekiwania chwili, w której prawda cała stanie przed jej oczyma jasno i pewno, zaryzykowałem:

— Czy jesteś pani pewną, że nie czujesz dla Stefana nic podobnego? — zapytałem.

Potrząsła głową.

— Nie! nie czuję dla niego nic takiego... nie czuję nic takiego dla nikogo.

Nagle urwała, zdawało się, że w tej chwili z cieni parkowych, w które była wpatrzona, wystąpiła postać człowieka ukochanego i stanęła niespodzianie przed oczyma jej duszy, zadając kłam ostatnim jej słowom. Ksenia nagle zarumieniła się tak mocno, że nawet przy świetle księżyca widziałem wyraźnie gorącą, różową łunę, oblewającą jej twarz i czoło. W pierwszej chwili zadrżała, jak gdyby odkrycie uczucia, które oddawna zawładło jej sercem, przejęło ją silną obawą. Trwało to przecież chwilkę krótką tylko, natychmiast twarz jej rozjaśniła się dziwnie, osiadł na niej wyraz nieopisanego szczęścia i zachwytu, usteczka jej różowe rozchyliły się mimowiednym uśmiechem słodkim i rozkosznym i opuściwszy bezwładnie ręce na kolana, siedziała tak pochylona naprzód bez ruchu i byłem przekonany, że nie widzi w tej chwili ani jasnego nieba i srebrnego światła księżycowego, ani słyszy śpiewu słowików. Patrzała tylko w głąb' swej duszy, przyglądając się nowemu uczuciu, które w jednej chwili stworzyło przed nią nowe obrazy i światy nieznane, czarowne, dla których warto było zapomnieć o rzeczywistym. Długo siedzieliśmy obok siebie milcząc, ja smutny i zniechęcony, nie spuszczając oczu z rozmarzonej twarzy Kseni, ona zapomniawszy najzupełniej o mojej przy sobie obecności. Dopiero kiedy Antoni ukazał się w drzwiach od salonu, oznajmiając, że podano herbatę i wszyscy zebrani oczekują na nasze przybycie, zerwaliśmy się oboje. Ksenia spojrzała na mnie jak zbudzona ze snu i przeciągnęła dłonią po czole, jak gdyby uwolnić się pragnęła z czaru, który owładnął nagle całą jej istotę. Widziałem przecież, że niewiele jej to pomogło, bo powstała jak lunatyczka i jak senna postąpiła w głąb' domu, zapomniawszy nawet o kapeluszu, który pozostawiła na wschodach porzucony. Podniosłem go i we drzwiach już zatrzymałem dziewczynę.

— Nie mow pani nic ciotce o tem, że odmówiłaś Mirskiemu — rzekłem markotnie.

Spojrzała na mnie zdziwiona.

— Dlaczego?—zapytała odbierając z rąk mych kapelusz.

— Sądzę, że zmartwiłoby ją to... zresztą wiadomo pani, że doktor nakazał dla niej największą spokojność i potrzeba unikać wszystkiego cokolwiekby ją mogło irytować, albo nawet zająć zbytecznie. Najlepiej nie mów pani o tem nikomu, nawet pannie Skarzyńskiej, niech ta rzecz zostanie pomiędzy nami, aby przypadkiem nie doszła uszu pani Jenerałowej.

Ksenia stała chwilę zamyślona.

— Dobrze... dziękuję panu, że mnie przestrzegłeś. Nie chciałabym zmartwić biednej cioci. Dlaczegóż już oświadczył się! — dodała niecierpliwie.

(D. c. n.)

Z PRAGI CZESKIEJ.

Niektóre pamiątki polskie w Pradze Czeskiej. — Kościół św. Jerzego.—Katedra św. Wita.—Jej twórcy.— Klucz Pragi za Władysława Jagiellończyka. — Magistrat. — Niektóre polskie pomniki. — Literatura „Osveta" i „Kwety". — Polscy poeci w krytyce czeskiej (dramat). — Jeszcze o taniem wydawnictwie i chęci czytania.—Oświata i polityka wieśniaków. — Słówko o pani Elizie Krasnohorskiej i ukończonym przekładzie „Pana Tadeusza".

Jedną z ważniejszych pamiątek dotyczących stosunku naszego z Czechami, jest niezawodnie kościół św. Jerzego, później klasztor Benedyktynek, mieszczący się na zamku królewskim „Hradczanach". Kościół ten założył Wratysław I-szy około 916 roku, który wkrótce za Bolesława II-go został zamieniony na klasztor panien Benedyktynek.

Pierwszą przełożoną jego została siostra założyciela Mlada (973 r.). Nie pozostał on jednak w swojej pierwotnej formie, gdyż w 1150—1170 r. musiał być prawie nanowo odrestaurowanym po silnym pożarze. Pozostała jednak część pierwotnego kościoła a mianowicie po prawej stronie od wejścia w niczem nienaruszona — a najlepszym tego dowodem będą niezawodnie trzy romańskie filary, a raczej słupy z różnorodnemi romańskiemi kapitelami, jak również romańska bazylika. Wreszcie samo założenie tego kościółka jest romańskie i nader charakterystyczne, albowiem prezbiteryum składa się z dwóch kościołów, wyższego i niższego czyli krypty, co stanowiło nieodzowną cechę starych romańskich kościołów. Do wyższego kościoła w prezbiteryum prowadzą dwoje schodów, niezawodnie o wiele późniejszych — pomiędzy zaś niemi znajduje się wejście do niższego kościółka.

Zapewne to co dotąd powiedzieliśmy nie ma nic wspólnego z naszą historyą, ale natychmiast wyjaśnimy to pokrewieństwo.

Oto pierwsza ksienia tego klasztoru Benedyktynek Mlada, była siostrą Dąbrówki, która wniosła do Polski wiarę chrześciańską. Klasztor Benedyktynek, wystawiony pod wezwaniem ś-go Jerzego, należy do najstarszych klasztorów na ziemi czeskiej. My nie mamy mu podobnych i może jedna krypta na Wawelu równa się z nim formą swą i stylem.

Nic więc dziwnego, że kościół ten, co do swojej struktury, dopomaga wielce do rozjaśnienia dziejów sztuki pierwotnej w Polsce. Nie ulega ani na chwilę wątpliwości, że duchowieństwo czeskie wnosząc do Polski chrześcianizm, przyniosło razem i budowę odpowiednią do chrześciańskiego kościoła, który wśród napadów barbarzyńskich, lub wpływem czasu styrany, zniszczał, pozostawiając nieliczne ślady w klasztorze św. Jędrzeja w Krakowie i w krypcie zamku królewskiego.

Taki jednak kościół, jaki znajdujemy na zamku pragskim, uzupełnia budową szczątki naszego romańskiego kościoła i daje nam pojęcie o jej świetności u nas za czasów pierwszego chrześciaństwa. Wreszcie tak zbliżone pokrewieństwo, jak księżniczki Mlady z Dąbrówką, najlepiej i najwyraźniej świadczy, że wpływ poważnej ksieni klasztoru Benedyktynek, nie mógł pozostać bezwpływowym na rodzoną siostrę niosącą światło chrześcianizmu do krajów pogańskich. Wogóle więc kościołek romański, jakkolwiek zewnątrz zeszpecony rokokiem, jest dla naszej sztuki choć pośrednio, bardzo cennym zabytkiem i przez historyków jak również estetyków sztuki polskiej nie powinien być pomijanym.

Inaczej zupełnie przedstawia się sąsiedni kościół na Hradczanach, imponujący swoją budową, ozdobami, swoją siłą, a zarazem lekkością stylu. Jest to gotycka budowa wystawiona pod wezwaniem św. Wita. Początkowe założenie tego kościoła przypisują św. Wacławowi, patronowi Czech, w latach 928 do 935. Z tej jednak budowy, jak twierdzą historycy sztuki, pierwotnie romańskiej, nic nie pozostało. Uległa ona kilkakrotnie zniszczeniu, które spowodował szalony pożar, a więcej jeszcze brak wody na wysokiej górze. Dopiero Karol IV, na pamiątkę podwyższenia biskupstwa pragskiego na arcypiskupstwo, założył dnia 21 listopada 1344 roku kamień węgielny pod nową świątynię, do której plan przygotować miał mistrz-budowniczy Maciej z Arrasu, który przez lat ośm, aż do swojej śmierci 1352 r. prowadził tę budowę. Po nim zabrakło dzielnego mistrza do dalszego prowadzenia tej pracy i dopiero Karol IV przejeżdżając przez jakąś małą wioszczynę w Szwabii, znalazł tam młodego dwudziestoletniego chłopca, któremu dalszą budowę polecił. Owym chłopcem, jak wskazuje wmurowana na kościele tablica, był Piotr Parlerz z Polski, który objąwszy to arcydzieło, stawiał je aż do końca swego życia t. j. do 1398 roku. Po nim objął dalsze roboty syn jego Jan. W 1392 r. dokończono budowę chóru. Cała zaś świątynia doprowadzoną została tylko do połowy. Wojny husyckie przerwały dalsze roboty i dopiero w dzisiejszych czasach zabrano się do wykończenia. Robota posuwa się wolno; bo też co prawda, nie można tu pospieszyć.

Wszystko kuje się z piaskowca. Ogromne rzeźbione filary, prześliczne jakby tkane koronki, wyciosują się ciężkim młotem i stalowem dłutem z twardego materyału, a styl gotycki rozwija się tu w całej pełni. Sztuczne sklepienia angielskie, prześliczne, pięknie zastosowane filary, robią na widzu wrażenie, jakby owe wysoko rozłożone sklepienia opierały się na lekkich, trzcinowych żebrach. Słowem jest to arcydzieło architektury, a podobnie jasnego, przezroczystego gotyckiego kościoła nie zdarzyło nam się widzieć. To arcydzieło architektury XIV wieku w części należy do nas i do naszej sztuki. Stawiał go Polak, który już wówczas kazał na tablicy wykuć przy swojem nazwisku nazwę swojej ojczyzny.

Nie mogąc długo zatrzymywać się nad tym pięknym budynkiem, nie mogąc choć w przybliżeniu dać obraz tych wszystkich ozdób, tych potworków, które tak pięknie przyozdabiają zewnętrzną stronę kościoła, powiem tylko, że w założeniu jego figuruje jedna wysoka środkowa nawa i dwie nawy boczne o wiele niższe, okalające główną nawę.

Jedna z nich służy do przejścia w około kościoła; druga stanowi szereg kaplic, w których znajduje się mnóstwo pomników.

Trudno wyliczać je po kolei, zanotuję tylko, że w kaplicy św. Zygmunta znajduje się nagrobek, a raczej pomnik Zygmunta Batorego; w środkowej zaś nawie, przed głównym ołtarzem mieści się królewskie mausoleum z salzburskiego białego marmuru, wystawione kosztem 32,000 dukatów, przez Rudolfa II-go w 1589 roku. Przedstawia się ono jako duży czworobok, otoczony wysoką żelazną, artystycznie ukutą kratą. Na wierzchniej płycie spoczywają Ferdynand I-szy, jego żona i Maksymilian II-gi. Po bokach znajdują się płaskorzeźby Karola IV-go i czterech żon tego króla, oraz Wacława IV-go, Władysława Pogrobowca i Jerzego z Podiebradu.

Pomiędzy temi płaskorzeźbami zawieszono na froncie w ornamentyce dużego białego dawnej Polski orła. Pomnik ten jest dziełem Aleksandra Kolina z Norymbergii.

Kiedy już jesteśmy na zamku, nie od rzeczy będzie zatrzymać się w tych starych murach. Najstarsza część zamku znajduje się niezawodnie nad spadzistym wąwozem z zachodniej strony; potem idzie gotycka część budynku na północnej stronie. Reszta zamku jest nowsza i dźwignięta w stylu baroko. Gotycka część zamku, gdzie kiedyś mieściły się zabudowania arcybiskupie i kapitulne, jak również sala tronowa, stoi dziś pustkami. Jest to część budynku, które dźwignął Władysław Jagiellończyk, wówczas król czeski.

Prześliczna ogromna sala gotycka, z bardzo sztucznem sklepieniem zdobi główną część pozostałej budowy. Z sali tej przechodzi się do niewielkiej izby tronowej, gdzie obite czerwonym aksamitem, wznosi się krzesło królewskie, przed nim ustawiony cały szereg ław wybitych podobnież czerwonem suknem i stoły z niepospospolicie pięknemi krzesłami, które już niejednokrotnie ściągały tu łakomych tego łupu Anglików.

W jednym z rogów tej sali wznosi się duży balkon, na który wychodzi się po dosyć wysokich wschodach, było to miejsce dla oratorów.

Ztąd wiodą niewielkie drzwi do wyższych sal, gdzie zwykle wieczysta księga i inne dokumenta spoczywały. Dziś z dawnych czasów pozostało tylko w jednej sali mnóstwo namalowanych herbów, które dla pamiątki, podczas nadania tu się zamieszczały. Tamże mieści się owa komora z dokumentami królestwa i z tą wieczystą księgą, od której klucze aż sześciu panów posiada.

Dziś toczy się o te dokumenty proces: do kogo one mają należéć, czy do rodziny królewskiej, czy do miasta.

Po wysokich a wygodnych wschodach zejdziemy teraz z góry zamkowej na dół a opuściwszy „Małą stronę" dostaniemy się po moście Karola IV-go niezwykle pięknym, opatrzonym dwoma wysmukłemi wieżami i mnóstwem figur rzeźbionych, do starego ratusza. Może żadne z większych miast nie posiada tak starego magistratu jak Praga. Prześliczny budynek gotycki o dużych, prawie kościelnych oknach, z pięknemi rzeźbami wznosi się na starym rynku. Zewnętrzna jego forma odpowiada zupełnie wewnętrznej. Stara sala posiedzeń jest wzorem gotycyzmu, gdzie nie sklepienia, ale malowane sufity, o grubych, pięknie rzeźbionych belkach stanowią główną dekoracyą sali.

Skarbiec oprócz ważnych dokumentów i bul złotych, poczynając od XIII wieku, posiada trzy pozłacane obrzędowe klucze, z których dwa są o wiele późniejsze, jeden zaś jest zwany kluczem Władysława Jagiellończyka, który pomijając sztuczne piórko klucza, posiada część wierzchnią bardzo artystycznie wykończoną, gdyż środek jego jest zapełniony ślicznemi gotyckiemi freskami.

(D. n)

NOWE WYDAWNICTWA.

Historyi Literatury Powszechnej D-ra Jana Scherra, według szóstego wydania oryginału niemieckiego przełożonej, w osobnych przypiskach uzupełnionej i w dziale literatur słowiańskich znacznie pomnożonej przez Bronisława Zawadzkiego, wyszedł tomu drugiego zeszyt drugi.

Dzieło to wyjdzie w dwóch tomach czyli w sześciu zeszytach obejmujących po 10 — 12 arkuszy druku. Cena całego dzieła w prenumeracie wynosi rs. 5, z przesyłką pocztową rs. 6. Zeszyt ostatni wyjdzie w październiku r. b.

Słownika Geograficznego Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich, wyszedł zeszyt 32-gi. Zeszyty wychodzą co miesiąc i 12 zeszytów składa jeden tom. Ponieważ zamiast zapowiedzianych pięciu tomów wyjdzie ośm, cena zatem całego dzieła została podniesioną i wynosi obecnie na miejscu rs. 48, z przesyłką pocztową rs. 57. Cena zeszytów i tomów, pozostaje niezmieniona. Zeszyt tak jak dawniej kop. 50, a tom rs. 6. Z przesyłką pocztową zeszyt kop. 60, tom rs. 7 kop. 20.

Adres do przesyłania pieniędzy i artykułów: F. Sulimierski, Warszawa ulica Ś-to Krzyżka Nr. 17.

Dnia 13-go września wyszedł z pod prasy zeszyt XXXIII-ci (IX-ty tomu III-go) „Słownika geograficznego polskiego", obejmujący miejscowości od Justynów do Kałusz. Z artykułów szerzej opracowanych, zeszyt ten zawiera: Jutrosin, Jutrzenka, Juwkowce, Kabarowce, Kac, Kacice, Kaczmarów, Kadaryszki, Kadłubiska, Kadyny, Kahorlik, Kal, Kalina, Kalinowo, Kalisz, Kalna, Kalnik, Kalwarya. Zeszyt XXXIV-ty wyjdzie po 1-ym października.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Dzięki niebu głos prasy i ludzi dobrej woli, zwrócony do młodzieży rzemieślniczej w celu umoralnienia ich obyczajów i zbudzenia silniejszego poczucia godności osobistej nie jest głosem wołającego na puszczy. W wielu tutejszych kółkach rzemieślniczych ujawnia się widoczna dążność do tego zmierzająca celu, poczynając od uszlachetnienia nawet rozrywek i zabaw, jakim oddają się w dnie wolne od pracy. Między innymi pracownicy jednego ze znaczniejszych warszawskich zakładów rękodzielniczych, postanowili jednozgodnie całkiem odmiennie jak to się dotąd, niestety, praktykuje, obchodzić niedziele i dni świąteczne. Zamiast przepędzać je na hulatyce, postanowili w każde święto, w porze zimowej zbierać się dla wspólnego czytania książek odpowiedniej treści, które ze składek kupować lub prenumerować będą, ucząc zarazem czytać i pisać terminatorów młodszych. Podczas wiosny i lata, zajęcie umysłowe zastąpione zostanie przez ćwiczenia fizyczne za pomocą wspólnych wycieczek w okolice zamiejskie, dzięki którym, każdy z takich pracowników, obok wspólnej rozrywki, choć raz w tydzień odetchnie świeżem powietrzem.

Jest to przedsięwzięcie godne pod każdym względem największego uznania; daj Boże aby pracownicy innych zakładów naśladowali tak piękny przykład!

Radzilibyśmy jeszcze wprowadzenie śpiewów chórowych, które do urozmaicenia zabawy wielce przyczynić się mogą.

*** Podczas bytności w kraju naszym hr. Wrschowetz'a, pisma donosiły że mamy w kraju dobrego hydrognostę ks. Gąsiorowskiego, że więc nie potrzeba było szukać za granicą i opłacać tak drogo. Obecnie „Echo Łomżyńskie" donosi że magistrat tamtejszy zaprosił ks. Gąsiorowskiego aby przybył do Łomży dla wyszukania źródeł. Czyniąc zadość wezwaniu ks. G., przyjechawszy tam wskazał źródła w dwunastu miejscach.

Zarówno jak hr. Wrschowetz, ks. Gąsiorowski używa za narzędzia pomocnicze: 1-o laski trzcinowej z gałką na wierzchu, pod którą, zamiast zwyczajnego, przeciągnięty jest dość gruby łańcuszek mosiężny, spadający niżej górnej połowy tej laski, i 2-o ciężarka zaszytego w płótno i obwiniętego sznurkiem, przymocowanym do podobnego jak powyższy łańcuszka. Działanie słońca ma być nieodłącznym środkiem do oznaczenia głębokości w jakiej źródło się znajduje, i według słów ks G. szczególniej około południa gdy słońce dobrze operuje i nie ma wiatru, jest on w stanie jak najdokładniej oznaczyć odległość źródła od powierzchni ziemi. Czynność wskazania źródła zajmuje ks. G., pięć do dziesięciu minut; przystępując do niej, w lewej ręce ukośnie trzyma laskę a w prawej ów ciężarek i wolny koniec jego łańcuszka okręca kilka razy około pulsu, dalszy ciąg jego bierze we dwa palce i trzymając pionowo, lekko go opuszcza, skutkiem czego ciężarek przyczepiony do drugiego końca łańcuszka, zakreśla mniej więcej regularne koła. W ówczas prawie natychmiastowo ks. G. wskazuje środkowy punkt źródła naznaczając go obcasem, poczem wbija się w tem miejscu kołek dla trwalszego oznaczenia. Rozpoczęto już kopać we wskazanych przez ks. Gąsiorowskiego miejscach.

*** Piszą nam z Włoch że z Nowym rokiem otworzy się w uniwersytecie bolońskim katedra literatury polsko-słowiańskiej, postanowiona już w zasadzie. Dotąd na przeszkodzie jej utworzeniu stał brak funduszu, gdyż ministerium oświaty nie mogło znaleźć odpowiedniego funduszu, i zaledwie małą cząstkę jego wydzielić mogło. Obecnie przeszkoda ta usunięta zostaje dzięki szlachetnej ofiarności bogatego rodaka naszego p. Zienkowicza, inżyniera z Turynu, który oznajmił iż chętnie dopłacać będzie brakującą sumę. Minister oświecenia, p. Bacelli przeznacza katedrę literatur słowiańskich naszemu poecie - rzeźbiarzowi, Teofilowi Lenartowiczowi, a nominacya jego na tę posadę nastąpi zaraz po wydaniu postanowienia królewskiego, ustanawiającego katedrę literatury, polsko-słowiańskiej. Obecnie Lenartowicz pracuje nad przygotowaniem wykładów.

*** Wiedeńska *Presse* podaje wiadomość zaczerpniętą od jednego z prenumeratorów swoich, że w parafialnym kościele w *Mittelwalde,* na Szlązku, w hrabstwie Glatz, znajduje się obraz wyobrażający Matkę Boską, który papież Inocenty VI darował Janowi Sobieskiemu w dowód wdzięczności za oswobodzenie Wiednia od najazdu tureckiego; w 1683 r. Królowa Marya Kaźmira darowała ten obraz rodzinie hrabiowskiej *Althan'ów,* która ofiarowała go kościołowi parafialnemu, w r. 1813. Dopiero w r. 1832 przypadkiem odkryto na odwrotnej stronie obrazu, blachę mosiężną z napisem objaśniającym pochodzenie obrazu.

*** Wyszedł w Krakowie 1-szy tom „Listów Zygmunta Krasińskiego", pisanych do przyjaciela jego Konstantego Goszczyńskiego. Tom ten raz już był wydany przed dwudziestu przeszło laty, obecne wydanie jest przejrzane i uzupełnione przez I. J. Kraszewskiego. Jest to nieoceniony przyczynek biograficzny do poznania wielkiego serca wielkiego poety. Obok niezrównanej piękności wysłowienia, listy odznaczają się zarazem dziwną prostotą formy. Genialny pisarz, jak zawsze, wypowiada w nich co czuje, daje nam poznać tajniki swej duszy. Myśliciel-poeta-artysta, nie spuszcza z oczu sprawy *ducha narodowego* i bacznie śledzi za wszelkim ruchem umysłowym. Własnem życiem związany z życiem ogólnem, związany z niem ściśle cierpi cierpieniem innych, dręczy się złą sprawą, a natomiast więcej jak osobistą radością cieszy się każdym choćby najmniejszym objawem dobra, szlachetnego czynu, wzniosłej myśli, żywiąc sam najgłębsze poczucie obowiązków obywatelskich — choć zdaleka tylko mógł dźwigać drugich siłą swego ducha, którą umiał zachował pomimo strasznych cierpień fizycznych. Pierwsze utwory jego wychodziły bezimiennie, i nie zawsze umiano ocenić je jak zasługiwały — a nawet znaleźli się i surowi krytycy, niezdolni pojąć oryginalnej piękności języka i prześlicznej formy najwznioślejszych myśli, poetycznego polotu wzniosłego, do szczytu piękna podnoszącego się ducha — co było powodem że wielki poeta nie odrazu został popularnym. Obecnie Zygmunt Krasiński znany jest i uwielbiany na całej przestrzeni kraju jako wieszcz narodowy, wszyscy, dzieci nawet, czytają go i rozumieją. Onto wyraził się o Adamie, którego także nie odrazu umiano pojąć i ocenić „że co się przeprowadza w mózgu ojców, to do serc dzieci przechodzi i rodzi się z niemi instynktownie."

W listach Zygmunta znajdujemy nader ciekawe oceny utworów Adama i Słowackiego, ale faktów odnoszących się do jego autobiografii bardzo mało, są one raczej historyą jego ducha niż jego życia. Widzimy z nich jak bardzo cierpiał, jak walczył nieustannie z cierpieniem fizycznem i moralnem. Bezmierny swój smutek i troski nazywa sam „nieśmiertelnym jakimś robakiem, który go toczy, od którego czuł że zginie" jednak do końca duch jego nie zstępował ze szczytu wyżyn do jakich wznieść się potrafił, myślał o innych i żył dla innych, męczeństwem ducha zdobywając prawdę.

*** *Gazeta Krakowska* donosi: że d. 9 i 10 września r. b. pan Walla, zawiadowca telegrafów kolei arcyks. Albrechta, przedstawiał w Przemyślu *mikro-telefon* swego wynalazku, uznany przez komisyę znawców pod przewodnictwem p. Machalskiego, słynnego telefonisty, za najgłośniejszy ze wszystkich znanych telefonów. W odległości 25-ciu metrów od aparatu, wszyscy obecni w całej sali, słyszeli równocześnie jak najdokładniej słowa, śpiew i muzykę. Podczas popisu pan Walla zatykał chustką tubę aparatu, później postawił go otworem na ziemi i słyszano go w całej sali. Aparat p. Walla tem się jeszcze odznacza iż wydaje nietylko głosy lub tony pojedyńcze, jak np. skrzypce, flet, trząbka, i t. p. ale także i połączone, czego dowodem był nietylko duet odśpiewany przez panie C. ale także i gra na harmonii ręcznej. Wszystkie tony i półtony najdokładniej były słyszane w całej sali, tak jak gdyby grano wobec zebranych. Prawdziwy koncert odbywał się o kilkanaście domów dalej. Druty przeprowadzone przez dachy do największej sali w Przemyślu, za pomocą *mikro-telefonu* pana Walla, przeniosły ca-

ły koncert tak głośno i wyraźnie, iż po słyszanej muzyce tańczyćby można.

*** Swietny rezultat paryzkiej Wystawy elektrycznej zachęcił rząd bawarski do urządzenia podobnej w Monachium; ma być otwartą w niedługim czasie i ześrodkować wszelki postęp jakiego dosięgła elektrotechnika w ostatnich czasach.

Sławny Edison chce zużytkować siłę 80 koni parowych do poruszania maszyn wytwarzających elektryczność. Oprócz oświetlenia ogromnej sali restauracyjnej i ogrodu, podjął się oświetlić jedną lub parę ulic jakoteż teatr, w którym zaprowadzi 800 lamp o sile 8—100 światła zwyczajnej świecy parafinowej. Przedstawione także będą plany zaprowadzonego już oświetlenia elektrycznego całej jednej dzielnicy Nowego-Yorku, oświetlonej 14,000 lamp o sile 170,000 świec. Centralne oświetlenie przedstawione będzie przez firmę Schukert'a w Norymbergii, który na szczycie dachu wystawi lampę o sile 100,000 świec. Jako nowość firma ta przedstawi latarnię podobną do latarni morskiej, umieszczoną na wagonie opatrzonym poruszającą go maszyną parową. Przenosne to światło o znacznej sile, ważne może oddać przysługi podczas wojny, przy robotach nocnych na kolejach i t. p.

Plac Wystawy oświetlony ma być 11 lampami, z których każda przedstawiać będzie siłę 1000 świec. Siłę potrzebną do wytworzenia odpowiedniej elektryczności sprowadzać się będzie z odległości blizko 5 wiorst, zużytkowując do tego siłę wodospadu Hirschau. Otrzymana siła podczas dnia, służyć będzie do poruszania rozmaitych maszyn, i przedstawi praktycznie możność zużytkowania sił przyrodzonych do celów praktycznych.

Na szerszą skalę dokazać tego pragnie jeden z amerykańskich przedsiębierców, Leonard Henkl, znany z prac swoich nad udoskonaleniem systemu oświetlania systemu elektrycznego, który zapłacił milion dolarów za prawo używalności wodospadu Niagara. Zamierza on siłą spadku wody puścić w ruch olbrzymią maszynę elektryczności, którą za pomocą drutów podziemnych rozsyłać będzie na wszystkie strony celem oświetlenia 63 trzech miast Ameryki. Pomysłowy Amerykanin przypuszcza, że siła tej maszyny wystarczy do przesłania dość silnego prądu na 500 milową odległość. Widać uwierzono w powodzenie tak śmiałego pomysłu, skoro twórcy jego udało się zawiązać towarzystwo akcyjne, z kapitałem 20 milionów dolarów. Podobne pomysły w Ameryce tylko powstać a może i wykonać się mogą.

*** Na rzekach i w przystaniach chińskich, szczególnej w pobliżu wielkich miast portowych, uwija się tysiące tak zwanych *dżonek* czyli krótkich łodzi różnej wielkości, z szerokiemi zakrzywionemi w górę końcami, na których stale zamieszkuje biedna ludność, szukająca pracy i zarobku. Sąto więc jakby osady pływające, przenoszące się z portu do portu, z rzeki na rzekę, odnośnie do tego gdzie się robota nastręcza. Niepodobna oznaczyć ściśle liczby ludności tych osad, nie objętych żadnemi spisami, jednak bez przesady powiedzieć można, że na całej przestrzeni państwa niebieskiego wynosi kilka milionów. Pod Kantonem znajduje się zwykle do 80,000 dżonek, z 300,000 ludności; w porcie Hong-Kong liczą do 50,000 tych wodnych mieszkańców, którzy trudnią się rybołówstwem lub wynajmują do robót na stojących w porcie okrętach. Mężczyźni pracują przy ładowaniu i wyładowywaniu okrętów, kobiety piorą bieliznę załogi. Ci mieszkańcy dżonek odznaczają się wogóle uczciwością i dobrem sprawowaniem, poprzestają na nader nędznem pożywieniu. Wiele dżonek jest zupełnie odkrytych, a rozpostarte nad niemi maty słomiane, nie są zdolne dostatecznie chronić mieszkańców przed deszczem i skwarem słonecznym. Na przenośnem ognisku gotują sobie ryż, a w braku innego mięsa — z powodu ich niedostatku — żywią się kotami i szczurami. Dopełnieniem tego niedostatecznego pożywienia jest herbata i owoce; mimo to wyglądają dobrze, są zdrowi i silni, a co więcej najzupełniej zadowoleni ze swego losu. Na tych dżonkach rodzą się, żyją i umierają, tylko zwłoki zmarłych chowają na lądzie. Nie można oznaczyć napewno od jak dawna istnieją w Chinach te pływające osady; według starego podania chińskiego, przed kilkuset już laty, z powodu nadzwyczajnego wylewu rzek, mieszkańcy zmuszeni byli szukać schronienia na łodziach i następnie na stałe na nich pozostali, nie chcąc powracać do swych siedzib zniszczonych przez wodę.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Kostium wizytowy. Tunika kaszmirowa garnirowana koronką, fałdowana i fantazyjnie wachlarzowo podpięta, odsłania spódnicę z materyi jedwabnej w rzut kolorowy. Z takiejże materyi dany kołnierz i przybranie stanika, składające się prócz tego z koronki i wstążki atłasowej.

Suknia strojna wizytowa z trenem. Przód sukni jest z materyi adamaszkowej, draperya i panier z gładkiej surah, stanik i tren krajany w jednym ciągu, są aksamitne. Stanik zakończony wykładami adamaszkowemi, otwarty z przodu, dopełniony jest plastronem z materyi surah, przysłoniętym z wierzchu żabotem koronkowym. Brzegi trenu i panier garnirowane koronką.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani St. K. w Przasznyszu. O sposobie ekspedyowania Pisma naszego tak często pisaliśmy w odpowiedziach, że powtarzać to samo uważamy za zbyteczne. Niedokładności więc w odbiorze numerów, nie z winy Redakcyi pochodzą, a kto głównym tu winowającą, to łatwo się domyślić. Wszystkie zaległe numera przesłano powtórnie, jakie zaś dodatki są dołączane to w każdym numerze, przy samym końcu jest zawsze wymienione.

Panu Januszowi Boń. w Częstochowie. Gdy pokochaną wiążą już inne węzły święte, czyli, jak domyślać się można, jest już mężatką, to wszelkie do niej poetyczne odezwy są co najmniej niewłaściwe. Wzmianka o zostałych mętach w puharze, zanadto realistyczna. O wierszykach dawniej nadesłanych odpowiedź udzielono.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i rycina kolorowa.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 15 Сентября 1882 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 39, r. 1882.

WALKI ŻYCIA.

PRZEMYSŁOWIEC.

Przez

Jerzego Ohnet.

(Przekład z francuzkiego.)

(Dalszy ciąg.)

Panna Beaulieu wyszła z salonu; jasne światło uwydatniło całą jej postać. Miała lat dwadzieścia dwa i piękność jej pełnym jaśniała blaskiem. Była wysoka, ruchy miała pańskie i piękne. Ramiona i ręce były jakby utoczone; nóżki maleńkie. Jasne włosy połyskiwały jakby złotem. Stanęła nieco pochylona naprzód, wsparłszy ręce o żelazną balustradę peronu, chwytając machinalnie piękny kwiat jakiejś pnącej się rośliny—i w tej postawie była żywem uosobieniem młodości, w całym swym wdzięku i sile.

Margrabina przez chwilę z uwielbieniem wpatrywała się w córkę; poczem smutnie wstrząsnęła głową, ciężkie wydając westchnienie. Piasek skrzypiał na tarasie pod nogami nadchodzących; nawet już odgłos ich rozmowy dochodził do salonu.

Pan Bachelin miał około sześćdziesiąt lat; był dość dobrej tuszy skutkiem sedentaryjnego życia. Siwe włosy otaczały twarz mocno rumianą; starannie ogolony, czarno ubrany; coś, niby mankiety spadały mu na ręce—był doskonałym typem notaryusza starej daty. Szczerze był przywiązany do swoich szlachetnych klientów; mówiąc „pani margrabino", wymawiał te wyrazy z jakimś pobożnem namaszczeniem. Rodzina jego oddawna, z ojca na syna zajmowała się interesami margrabiów de Beaulieu i całej okolicznej szlachty. Obecnie urzędujący notaryusz Bechelin, chlubił się tem iż papiery jego kancelaryi sięgają czasów Ludwika XI a podpisy margrabiów de Beaulieu kilku pokoleń.

Przybycie właścicieli pałacu de Beaulieu wielką radość sprawiło staremu notaryuszowi, który szczerze ubolewał nad ich nieobecnością. Cieszył się że raz poznawszy tę uroczą miejscowość, corocznie w lecie powracać do niej będą. Chcąc popisać się ze swoją znajomością prawa, ofiarował margrabinie swe usługi w celu rozwikłania sieci zawikłanego, w Anglii prowadzonego procesu, i od sześciu tygodni prowadził z londyńskim pełnomocnikiem nieustanną korespondencyę, która przyczyniła się bardzo do przyśpieszenia sprawy. W ciągu sześciu tygodni więcej daleko posunął ten interes, niż dotychczasowi prawni doradzcy i pełnomocnicy margrabiego przez całe lat dziesięć. Jakkolwiek nie ukrywał przed margrabiną, iż sprawie tej nie rokuje pomyślnego końca, jednak szczerze wdzięczna była mu za skuteczną pomoc, podziwiając zarazem jego zdolność i pracowitość. Oceniając jego szczerą życzliwość, traktowała go nie jak płatnego sługę ale jak przyjaciela.

Idąc do pałacu, notaryusz spotkał się przy kracie parku z młodym margrabią, a widząc go tak obładowanym, gwałtem odebrał mu dubeltówkę i niósł ją lewą ręką, ponieważ w prawej trzymał wielki portfel pełny papierów.

— Ah! panie Bachelin, zawołała wesoło Klara, dźwigasz tyle ciężarów iż iść prawie nie możesz.

Notaryusz wchodził zadyszany na wschody peronu i kłaniał się z uszanowaniem usiłując zdjąć kapelusz.

— Moje najgłębsze uszanowanie, panno margrabianko. Jak pani widzisz, w tej chwili jestem przedstawicielem prawa i siły—w jednej ręce trzymam kodeks i akta, w drugiej dubeltówkę.. Ale broń jest w lewej ręce... *Cedant arma togae!* Ach! stokrotnie przepraszam; zapewnie nie rozumiesz pani po łacinie...

— Przynajmniej te parę słów siostra moja zrozumiała niezawodnie, rzekł śmiejąc się młody margrabia... Nieoceniony z pana człowiek — oddajże mi już moją dubeltówkę; pocóż masz dźwigać ją dłużej jeszcze.

I odebrawszy broń, Oktawiusz wszedł na peron za notaryuszem.

— Szczęśliwie ci się dziś powiodło na polowaniu, rzekła Klara zatrzymując brata, i unosząc nieco ręką ciężką jego torbę myśliwską.

— Będę szczerym, nie chcąc stroić się w pawie piórka.. nie ja to upolowałem tę zwierzynę.

— A któż?

— Albo ja wiem! Mówię prawdę — dodał widząc zadziwienie siostry. Wyobraź sobie, zabłądziłem w lesie i zaszedłem na grunta Pont-Avesnes gdy wtem pojawił się jakiś inny myśliwy, który zwrócił na to moją uwagę i zapytał kto jestem. Przemawiał dość ostro, jednak gdym wymienił moje nazwisko, okazał się nietylko łatwym do zgody, ale nawet tak uprzejmym iż prawie zmusił mnie do przyjęcia zwierzyny którą upolował.

— Szczególna rzecz, rzekła panna de Beaulieu, czyżby człowiek ten chciał zażartować sobie z ciebie?

— Nie, ale znać było wyraźnie że pragnie mi się przypodobać... Zrobiwszy mi tę grzeczność, uciekł prędko, aby mi nie dać czasu na odmowę.

— Czy pan margrabia raczy pozwolić zadać mu jedno zapytanie? rzekł notaryusz uważnie przysłuchujący się tej rozmowie.

— Najchętniej, panie Bachelin.

— Jak wyglądał ów myśliwy?

— Wysoki, brunet, miał na sobie bluzę, na głowie stary szary kapelusz.

— Aha!... tak... tak... to on! zawołał notaryusz. Mogę objaśnić pana margrabiego kto jest ów tajemniczy ofiarodawca— jest to pan Derblay.

— Pan Derblay? zawołał margrabia—w chłopskiej bluzie i w przedpotopowym kapeluszu!... ależ to niepodobna!

— Niech pan margrabia nie zapomina, odrzekł notaryusz, że my tu jesteśmy sobie wiejskimi myśliwcami. Ja, który w codziennem życiu staram się zawsze być ubranym starannie, przestraszyłbym niezawodnie pana margrabiego, gdyby przypadkiem spotkał mnie w lesie na polowaniu. Mogę zapewnić że był to pan Derblay. Tak doskonale opisał go pan margrabia, iż z portretu tego poznałem go odrazu — a potem już sama uprzejmość, jakiej dał dowód, nie pozostawia mi żadnej wątpliwości. Tak, był to pan Derblay.

— No, w takim razie dopiero się grzecznie sprawiłem! Mówiąc do niego o nim, powiedziałem że jest bardzo niepożądanym sąsiadem... i parę jeszcze podobnych komplementów... Chyba wypadnie mi iść go przeprosić.

— Nie potrzebuje pan margrabia się trudzić, i jeżli raczy zawiadomić panią margrabinę o mojem przybyciu, w jej obecności udzielę pewnych objaśnień, które, jestem przekonany, zmienią opinią jaką utworzył pan sobie o panu Derblay.

— Doprawdy, bardzo rad temu będę, odpowiedział Oktawiusz, zdejmując z siebie torbę myśliwską, bo pan właściciel huty wygląda na miłego towarzysza.

To powiedziawszy wszedł do salonu i zbliżywszy się do margrabiny, z uszanowaniem pocałował ją w rękę, mówiąc:

— Pan Bachelin przyszedł i pragnie widzieć się z mamą.

— A proś go zaraz; słyszę że już od dziesięciu minut rozprawiacie na peronie. Dzieńdobry, panie Bachelin, dodała, zwracając się do wchodzącego notaryusza.

Gdy składał jej najniższy ukłon, na jaki tusza jego pozwalała, margrabina zapytała:

— Czy przynosisz mi pan dobre wiadomości?

W twarzy notaryusza widoczna zaszła zmiana— z uśmiechniętej stała się poważną i zakłopotaną. Omijając zapytanie zadane mu przez szlachetną klientkę, odpowiedział poważnie:

— Tak, pani margrabino, przynoszę wiadomości...

I jakby pragnąc jak najprędzej zwrócić rozmowę na inny przedmiot, rzekł:

— Byłem dziś rano w Pont-Avesnes, widziałem się z panem Derblay i usunięte zostały wszelkie zatargi o granice, jakie mogłyby powstać między Pont-Avesnes a Beaulieu. Zacny mój przyjaciel zgadza się na wszelkie warunki jakie pani margrabina postawi, zdając się najzupełniej na jej łaskę i niełaskę.

— W takim razie, odrzekła pani de Beaulieu z pewnym zakłopotaniem, stawianie jakichbądź warunkow byłoby zupełnie zbyteczne — gdzie nie ma walki, nie może być zwycięzców ani zwyciężonych. Zdaje się zupełnie na twój sąd, kochany Bachelin, będąc przekonaną że będzie słuszny i sprawiedliwy dla stron obu.

— Uszczęśliwia mnie to postanowienie pani margrabiny; cieszę się niewymownie że pokój między hutą a pałacem nie zostanie zakłócony. Trzeba więc tylko ułożyć i podpisać umowę, i w tym celu pan Derblay zamierza przybyć tu z siostrą swoją, panną Zuzanną, aby złożyć pani margrabinie hołd najgłębszego uszanowania — jeżli pani raczy łaskawie zezwolić na to.

— A! i owszem! niech przyjdą. Bardzo rada będę poznać tego cyklopa, który zaczernia dymem całą okolicę... No, ale zdaje mi się że chyba nie sam tylko ten traktat pokoju tak zapełnił wielki twój portfel, kochany Bachelin, dodała; zapewnie przynosisz mi jakieś nowe dokumenta, odnoszące się do naszego procesu w Anglii.

— Tak, pani margrabino, odrzekł widocznie zakłopotany. Zatem jeśli pani pozwoli, pomówimy o interesach.

Błagalnem spojrzeniem wskazał pani de Beaulieu jej syna i córkę;— zrozumiała go—i nieokreślona obawa zbudziła się w jej sercu. Cóż tak wa-

żnego zamierzał jej objawić notaryusz, iż żądał aby pozostali sami?—Ale była to kobieta obdarzona niezwykłą mocą duszy — to też nie wahała się długo. Zwracając się do Oktawiusza, rzekła:

— Proszę cię, Oktawiuszu, zobacz czy wydano rozkaz wysłania powozu do kolei aby czekał na pociąg przychodzący o godzinie piątej, którym przybyć mają baronostwo de Préfont.

Usłyszawszy to Oktawiusz drgnął, Klara podniosła głowę—zrozumieli życzenie matki — widocznie szukała pozoru aby ich oddalić? Istniała więc jakaś niepokojąca tajemnica, którą pomimo najgłębszego wzajemnego przywiązania, pragnęła ukryć przed niemi. Spojrzeli na matkę z uśmiechem, i nic nie mówiąc opuścili salon idąc każde w swoją stronę.

Klara zeszła powoli na taras. Przyszła jej nagle myśl że zapewnie Bachelin przyniósł jakąś wiadomość o księciu de Bligny; głęboko wzruszona, przechadzała się pod drzewami. Tłum myśli cisnął się jej do głowy, ale w tym chaosie ani z jednej nie mogłaby zdać sobie sprawy; nie wiedziała jak długo tak chodzi, zapomniała gdzie się znajduje.

Margrabina została sama z notaryuszem, który teraz nie zmuszał się już do przybrania wesołego wyrazu twarzy — był poważny i zamyślony. Margrabina siedziała parę minut w milczeniu, jakby chcąc użyć ostatniej chwilki spokoju, jaka pozostawała jej jeszcze. Nareszcie zdobywając się na odwagę, zapytała:

— Cóż masz mi do powiedzenia, kochany Bachelin?

Notaryusz wstrząsnął smutnie siwą głową.

— Nic dobrego, pani margrabino, odpowiedział, a nader to bolesne dla mnie, starego sługi jej dostojnej rodziny. Wygranie procesu wytoczonego w Anglii przez zmarłego pana margrabiego, staje się coraz wątpliwszem...

— Widzę że nie mówisz mi całej prawdy, panie Bachelin — gdyby istniała jeszcze choćby iskierka nadziei, nie byłbyś tak przygnębiony. Powiedz jak jest, mam odwagę poznać całą prawdę. Sądy angielskie wydały już wyrok — i przegraliśmy?

Notaryusz nie miał odwagi dać potwierdzającą odpowiedź; skinął tylko smutnie głową. Margrabina przygryzła usta; łza zawisła na jej rzęsach — osuszył ją niebawem palący rumieniec występujący na policzki. Stroskany notaryusz zapominając o wszelkiej etykiecie, zaczął prędkim krokiem chodzić po salonie. Owładnięty wzruszeniem, wyrabiał różne ruchy głową i rękami, jak gdyby będąc sam w swoim gabinecie, rozpatrywał jakąś sprawę.

— Cała sprawa była jak najgorzej prowadzoną! zawołał. Ci angielscy sollicitorowie, to wielkouszne osły! a chciwi jak szatan dusz... Napiszą list, płać za niego tyle a tyle... Odpowiedzieć im—znów tyle a tyle za przeczytanie... Wielka szkoda że pan margrabia nie zażądał mojej rady — ale bawił ciągle w Paryzu, a adwokat jego źle pokierował sprawą... Także osioł nie ustępujący angielskim!... O! i paryzcy adwokaci umieją tylko rujnować klientów na papier stemplowy!

Zatrzymał się nagle, silnie uderzając w dłonie: A! straszny to cios dla dostojnej rodziny de Beaulieu.

— Straszny, rzeczywiście, odrzekła margrabina, zagrażający ruiną mojemu synowi i córce. Chcąc jako tako podźwignąć nasz zmarnowany majątek, potrzeba co najmniej przez lat dziesięć ograniczyć się do jak największej oszczędności...

Bachelin zaprzestał chodzić po pokoju; ochłonął ze wzruszenia i stojąc przed margrabiną, słuchał jej mowy z najgłębszem uszanowaniem. Nadesłano mu wyrok i wiedział że sprawa przegrana była nieodwołalnie. Przeciwnicy umieli skorzystać z niedbalstwa margrabiego, poczynili odpowiednie kroki i zyskali przychylny wyrok w ostatniej instancyi.

— Nieszczęście nigdy prawie nie przychodzi pojedyńczo, rzekła po chwili margrabina — zapewnie masz jeszcze oznajmić mi inne złe wiadomości. Wypowiedz odrazu, mój poczciwy Bachelin—niech się raz z tem skończy, dodała ze smutną rezygnacyą — chyba już nic gorszego spotkać mnie nie może.

— Chciałbym temu wierzyć, pani margrabino, bo wtedy mniej bolesnem byłoby dla mnie oznajmienie drugiej wiadomości; — ale znając tkliwość serca pani margrabiny, obawiam się że z dwojga złego, strata majątku będzie dla niej mniej dotkliwą...

Margrabina zbladła; ogarnął ją niewysłowiony niepokój... Przeczuła co jej ma do powiedzenia pan Bachelin i rzekła żywo:

— Masz wiadomość o księciu de Bligny.

— Poleciła mi pani margrabina wywiedzieć się o wszystkiem co tylko odnosić się może do jej siostrzeńca, odrzekł z pewnym odcieniem pogardy, bardzo charakterystycznej u tak żarliwego wielbiciela arystokracyi. Spełniłem sumiennie jej polecenie, i otóż zawiadomiono mnie że książę de Bligny już od sześciu tygodni jest w Paryżu.

— Od sześciu tygodni! powtórzyła margrabina z osłupieniem, a my nic o tem nie wiemy!

— Siostrzeniec pani margrabiny nie życzy sobie bynajmniej aby tu wiedziano o tem...

— I nie przyjechał do nas... nie przybywa teraz nawet wiedząc o naszem nieszczęściu!... bo wszak wie o tem?

— Wiedział o tem jeden z najpierwszych, pani margrabino.

Pani de Beaulieu okazała bolesne zadziwienie, poczem rzekła z głębokim smutkiem:

— Miałeś słuszność, kochany Bachelin, że to dotyka mnie stokroć boleśniej niż utrata majątku. Książę de Bligny opuszcza nas widocznie; nie przyjechał dotąd i mam przeczucie że nie przyjedzie wcale. Pragnął posiąść nasz majątek; gdy ten został stracony i narzeczony się ulatnia. Pieniądz! oto hasło tej chciwej i przedajnej epoki! Piękność, cnoty, wysokie ukształcenie — wszystko to jest niczem... nie mówią teraz: ustąpcie najgodniejszemu, krzyczą natomiast: z drogi! przed najbogatszym!... A myśmy teraz prawie ubodzy — to też nas nie znają!

Bachelin wysłuchał spokojnie gwałtownego wybuchu oburzenia strapionej matki; w gruncie jednak doznawał pewnego zadowolnienia. Poczerwieniał znowu i machinalnie zacierał ręce, które trzymał za plecami.

— Ośmielam się wyznać, iż w mojem przekonaniu, pani margrabina spotwarza naszą epokę.— Wprawdzie przeważają w niej ideje pozytywne, i chciwość wrodzona rodzajowi ludzkiemu, znacznego dosięgła rozwoju. Nie można przecież ryczałtem potępiać naszych współczesnych. Są jeszcze ludzie z sercem, ludzie bezinteresowni, dla których piękność, cnota i ukształcenie kobiety są nieocenionym skarbem, że dla niego można sie wyrzec choćby bogactw całego świata. Wprawdzie nie mogę powiedzieć żebym takich znał bardzo wielu— ale znam przynajmniej jednego, a w pewnych razach, to dosyć.

— Co chcesz przez to powiedzieć, panie Bachelin?

— Nic więcej nad to, że jeden z moich przyjaciół, człowiek bardzo zacny i powszechnie szanowany, za pierwszem ujrzeniem panny de Beaulieu zakochał się w niej szalenie. Wiedząc że jest zaręczoną z księciem de Bligny, nigdy nie byłby się ośmielił wyjawić swych uczuć,—lecz gdy się dowie że jest wolną, oświadczy się jeźli tylko raczy go pani margrabina do tego upoważnić.

Margrabina spojrzała bystro na notaryusza.

— Wszak mówisz pan o panu Filipie Derblay?

— Tak, pani margrabino, odrzekł śmiało Bachelin.

— Uczucia, jakiemi córka moja natchnęła właściciela huty żelaznej, nie są dla mnie tajemnicą, odrzekła margrabina; nie kryje się on z niemi bynajmniej — a może nawet zbyt je ujawnia.

— A! bo też bezgraniczną miłością ukochał pannę Klarę, odrzekł notaryusz... Ale pani margrabina za mało zna pana Derblay, aby mogła go ocenić według jego wartości.

— Wiadomo mi że jest powszechnie szanowany w tej okolicy... Ale ty, kochany Bachelin, musisz znać dobrze jego stosunki rodzinne?

— Znam od urodzenia pana Filipa i siostrę jego pannę Zuzannę; ojciec ich nazywał mnie swoim przyjacielem... Niech to usprawiedliwi śmiałość moją, że odważam się mówić pani margrabinie o uczuciach pana Derblay... Spodziewam się że raczy mi pani przebaczyć... W moich oczach, klient mój jedną tylko ma wadę, a mianowicie: że nazwisko jego pisze się razem, bez apostrofu. Ale kto wie, może poszukawszy dobrze... Jest to rodzina bardzo dawna. Za czasów rewolucyi, uczciwy ludzie łączyli się z sobą ściśle, może i litery naśladowały ich przykład.

— Niech zatrzyma nazwisko jakiem jest i jak się pisze, odrzekła smutnie margrabina; nosi je jak człowiek pełen honoru; w czasach, w których żyjemy, można poprzestać na tem. Porównaj księcia de Bligny, opuszczającego Klarę dla tego że skutkiem tego nieszczęsnego procesu utraciła majątek, z panem Derblay, który pokochał i pragnie zaślubić dziewczynę ubogą — i powiedz któryż z nich jest prawdziwym szlachcicem — książę czy plebejusz?

— Jakże szczęśliwym byłby pan Derblay gdyby słyszał te słowa pani margrabiny!...

— Nie powtórz mu z nich ani jednego słówka, przerwała poważnie margrabina; margrabianka de Beaulieu nie przyjmuje niczyjej wspaniałomyślności. O ile znam jej charakter i usposobienie, zdaje mi się że nigdy za mąż nie pójdzie. Daj Boże, aby mężnie i z poddaniem zdołała znieść ten cios podwójny!

Notaryusz milczał chwilę, poczem rzekł wzruszonym i drżącym głosem:

— Co bądź wypaść może, niech pani margrabina raczy nie zapominać, iż pan Derblay uważałby się za najszczęśliwszego z ludzi, gdyby mu wolno było mieć nadzieję. Będzie czekał, bo serce jego nie umie być zmiennem. Przewiduję że wypadki te ściągną na nas ciężkie zmartwienia, bo wszak pozwoli pani staremu swemu i wiernemu słudze, zaliczać się do tych co podzielają smutki i strapienia... A teraz ośmielam się radzić aby nie mówić nic o tem wszystkiem pannie de Beaulieu; kto wie, może książę de Bligny zastanowi się jeszcze a w każdym razie lepiej dla panny Klary im później cierpieć będzie.

— Masz pan słuszność.—Co do Oktawiusza, mu-

szę go zawiadomić o strasznym ciosie jaki go dotyka.

I podszedłszy do progu, margrabina skinęła na syna, który siedząc na tarasie oczekiwał cierpliwie końca konferencyi.

— Jakże, zawołał wesoło, czy posiedzenie już skończone, lub czy wzywa mnie mama abym na niem zasiadł?

— Chcę rzeczywiście oznajmić ci nader ważne wiadomości, które mnie bardzo zmartwiły.

Młody margrabia spoważniał w jednej chwili i rzekł zwracając się do matki:

— O cóż chodzi?

— Kochany synu, pan Bachelin odebrał z Anglii stanowcze zawiadomienie dotyczące naszego procesu.

Oktawiusz przysunął się do matki i rzekł biorąc jej rękę, którą pocałował z uczuciem:

— Że proces ten został przegrany.

Margrabina osłupiała z zadziwienia, widząc z jak zimną krwią Oktawiusz przyjmuje tę wiadomość, i spojrzała na notaryusza jakby żądając od niego wyjaśnienia; lecz gdy ten milczał, zwróciła się do syna.

— Więc wiedziałeś już o tem? zapytała oddychając swobodniej, uspokojona tą rezygnacyą syna.

— Nie wiedziałem stanowczo, ale domyślałem się tego. Nic ci nie mówiłem, matko, aby cię nie zasmucać i nie pozbawiać nadziei, ale będąc pewnym że procesu tego nie wygramy, oddawna przygotowany byłem do tej straty. Tylko ze względu na siostrę, o której posag chodziło, martwiłem się przegraną; ale i temu łatwo zaradzić. Oddasz jej mateczko cały swój majątek, o mnie zaś bądź spokojna, dam sobie radę.

Słysząc te szlachetne słowa, margrabina dumnie podniosła głowę i rzekła zwracając się do notaryusza:

— Czyż mogłabym skarżyć się na los, mając takiego syna! — I wyciągając do niego ręce, zawołała:

— Dobre, szlachetne dziecko! pójdź niech cię uściskam.

— Nie mam w tem żadnej zasługi, odrzekł wzruszony młodzieniec, bo kocham bardzo siostrę i nie ma ofiary którejbym nie poniósł dla jej szczęścia.— Skoro już mówimy o tych smutnych rzeczach, czy nie sądzicie że to ciągłe milczenie kuzyna naszego de Bligny, nie jest czasem w związku z przegranym procesem?

— Mylisz się, kochany synu, zawołała żywo margrabina przerywając... książę...

— O! bądź spokojna, mateczko, odrzekł z pogardliwą wyniosłością; jeźli Gaston waha się dotrzymać zobowiązań, teraz właśnie gdy panna de Beaulieu nie przedstawia mu się z milionem posagu w każdej ręce, nie myślemy brać go za kark w celu zmuszenia go aby dotrzymał danego słowa... I według mnie, jeźli w takim razie książę de Bligny nie ożeni się z moją siostrą, tem gorzej dla niego, a tem lepiej dla niej!

— Masz słuszność, kochany Oktawiuszu! zawołała margrabina.

— Ma pan margrabia zupełną słuszność, potwierdził Bachelin. A ja dodam jeszcze: iż jeźli panna de Beaulieu nie jest już dość bogatą aby nęcić polującego za wielkim posagiem, zawsze jest i będzie dość piękną i pełną najpiękniejszych przymiotów, zdolnych zachwycić i pozyskać miłość człowieka z sercem.

Margrabina spojrzeniem nakazała mu milczenie; a on uszczęśliwiony że groźna kryzys tak szczęśliwie przeszła, złożywszy najgłębsze uszanowanie swym szlachetnym klientom, z pośpiechem do jakiego tylko zdolne były starego jego nogi, pobiegł do Pont-Avesnes.

III

Jak to powiedział Bachelin, margrabia spotkał rzeczywiście w lesie Pont-Avesnes pana Derblay ubranego, jakby polującego na cudzą zwierzynę. Ne zważając na głośne przywoływanie Oktawiusza, uciekał prędko przez las, nie zważając na cierńie i drapiące go gałęzie. Uśmiechał się szepcąc oderwane słowa, ciesząc się niezmiernie z wypadku który mógł zbliżyć go do tej którą uwielbiał z daleka i w marzeniach swoich, jak niedościgłe bóstwo.

Biegł prędko drogą wiodocą w dolinę, nie wiedząc nawet że skutkiem tak szybkiego biegu pot kroplami występował mu na czoło. Pędził jak prędko jak prędka i skrzydlata myśl jego.—Gdy margrabia dowie się z kim miał do czynienia— a przecież prędzej czy później dowiedzieć się musi, myślał sobie, — ujmie go grzeczność owego, jak powiedział, niewygodnego sąsiada, i kto wie czy nie będzie to powodem zbliżenia. Wtedy będzie mógł uwielbiać z blizka tę zachwycającą Klarę, której obraz ścigał go we dnie i w nocy, co więcej, będzie mógł z nią rozmawiać. Na samo to przypuszczenie w oczach mu się zaćmiewało. Zdawało mu się że w takim razie słowa uwięzłyby mu w gardle, że stałby przed nią oniemiały, obezwładniony wzruszeniem. Więc skryłby się w najciemniejszym kącie salonu i ztamtąd wpatrywałby się w nią długo, długo.. i byłby szczęśliwy!

Szczęśliwy!.. Jestże to możebnem? I na czemże to może skończyć się ta szalona jego miłość?.. Na tem chyba że w liczbie innych gości mógłby być obecnym na ślubie tej którą ukochał tak namiętnie. Był najmocniej przekonany że książę de Bligny powróci, bo czyż podobna aby znalazł się człowiek tak szalony, aby będąc kochany od takiej kobiety, pogardził jej miłością. A gdyby nawet książę był takim waryatem, to niebawem pojawi się inny jaki pretendent, młody i piękny jaki młodzian znakomitego rodu, któremu dość będzie ukazać się i wyjawić swoje nazwisko, aby zostać przyjętym... Kiedy gdyby on się oświadczył, on plebejusz i dorobkiewicz, odtrąconoby go z pogardliwą obojętnością.

Myśl ta wzbudzała w nim głęboki smutek, jakby paraliżując zarazem jego siły. Teraz już nie biegł ku Pont-Avesnes jak silny zwierz przesuwający się wśród kniei, szedł powoli, machinalnie obrywając listki z drzew przydrożnych i gniotąc je w palcach. Jakże jest nieszczęśliwym nie mogąc nawet marzyć o posiadaniu tej idealnej istoty!... I nie wiedząc co robić, zatrzymał się i wsparł o pień drzewa, w głębokiej zatonąwszy zadumie; twarz jego zbladła i spoważniała, oczy przybrały wyraz niewysłowionego smutku.

Przywodził sobie na pamięć wszystko co dotąd dokonać zdołał, stawiając sobie pytanie czy spełnienie tak ciężkich zadań nie czyniło go godnym szczęścia. Ukończywszy świetnie nauki, wszedł do szkoły politechnicznej, w której jako celujący zdolnością i pracą, był najpierwszym uczniem i otrzymał pierwszą nagrodę, poczem praktykował w górnictwie. Gdy uzyskał patent inżyniera, wojna wybuchła. Miał wówczas lat dwadzieścia dwa. Nie wahając się ani chwili, zaciągnął się jako ochotnik do jednego z pułków armii nadreńskiej; brał udział w krwawej walce pod Froeschwiller i powrócił do obozu pod Chalon ze szczątkami pierwszego korpusu armii. Po bitwie pod Sedan został wzięty w niewolę i strzeżony przez pruskich ułanów. Nie chcąc być jeńcem niemieckim, korzystając z ciemności nocy, przekradł się przez szeregi nieprzyjacielskie i przez Belgię dostawszy się do Lille, wstąpił do jednego z formujących się tam pułków.

Wojna trwała ciągle. Widział jak powoli najazd pruski rozszerzał się na cały kraj jak śmiertelna gangrena. Wyróżniony przez jenerała Faidherbe dla swej waleczności i nieustraszonej odwagi, odbył kampanię północną. Skutkiem rany odniesionej pod Saint-Quentin, przez sześć tygodni leżał w szpitalu między życiem a śmiercią, a nareszcie zaledwie oprzytomniawszy, zadrżał z przerażenia dowiadując się że Paryż jest w ręku komuny.

Długie i powolne odzyskiwanie sił uchroniło go od smutnej konieczności walczenia przeciw własnym rodakom. Jeszcze mocno osłabiony i cierpiący, powrócił do domu rodzicielskiego ze wstążeczką Legii honorowej na piersiach, którą przyniósł mu sam jenerał, gdy jeszcze leżał w szpitalu.

W domu czekała go boleść cięższa jeszcze niż te wszystkie w tak krótkim przebyte czasie — matka jego umarła, pozbawiając macierzyńskiej opieki swą małą zaledwie siedmioletnią córeczkę. Zniewolony wyjechać w nader ważnych sprawach, odnoszących się do kolosalnych jego przedsiebierstw, pan Derblay musiał powierzyć Zuzankę opiece wiernych służących. Gdy Filip przybył, Zuzanka ukochała go namiętnem przywiązaniem osamotnionego dziecka, tuliła się do niego jak słaba wątła istotka, potrzebująca poparcia i opieki. Filip serdecznie ukochał dziecinę tak potrzebującą opieki i przywiązania, a tak mało odbierająca jego dowodów od ojca ciągle zajętego ważnemi interesami, i od służby dobrej i wiernej ale niezdolnej pojąć tych delikatnych odcieni uczucia, daleko niezbędniejszych niż wszelkie wygody materyalne w życiu dzieci i kobiet.

Nadeszła jednak chwila że Filip musiał odjechać aby do ciężkiej zaprządz się pracy, rozłączenie to nader boleśnem było dla Zuzanki. Pożegnanie z bratem przypomniało dziewczynce ostatnie pożegnanie z umierającą matką—jednaka rozpacz zawładnęła jej sercem.

Los zrządził że rozłączenie to nie było długiem. W sześć miesięcy potem, umarł pan Derblay skutkiem nadmiaru pracy, Filip i Zuzanna zostali sierotami.

Nowe obowiązki spadły na młodego spadkobiercę. Likwidacya licznych przedsiebierstw zmarłego ojca była nader zawikłaną, przedstawiała wielkie trudności i przykre niespodzianki. Jakkolwiek wielkiemi obdarzony zdolnościami, pan Derblay miał tę wielką wadę iż rozpoczynał więcej przedsiebierstw niż je mógł doprowadzić do końca; rozproszone siły nie dozwalały zająć się niemi dostatecznie. Co zyskiwał na jednem, tracił na drugiem. Nastręczały mu się nieustannie coraz większe trudności, które pokonywał chwilowo dzięki niezwykłej zrzutności i energii, ale które bądź co bądź musiały w końcu przygnieść go swoim ciężarem. Umarł przed wybuchem katastrofy, zostawiając interesa w jak najgorszym stanie.

Jako inżynier, Filip mógł zapewnić sobie świetną przyszłość zrzekając się spadku po ojcu, zlikwidować jak możnaby najkorzystniej wszystkie przedsiębierstwa ojca, co dozwoliłoby ocalić dobre jego imię i oddać się swemu zawodowi—ale byłaby to ruina i siostrzyczka jego nie miałaby posagu. Nie wahał się ani chwili; podał się do dymisyi z posady zajmowanej w górnictwie, poświęcił świetne wi-

doki, i wkładając na swoje barki ciężar pod jakim upadł jego ojciec, został przemysłowcem.

Było to nader trudne zadanie. W spadku po panu Darblay pozostały: huty szklane w Courtalin, gisernia w Nivernais, kopalnie łupku w Var i huty żelazne w Pont-Avesnes. Filip śmiało rzucił się w tę otchłań, próbując zgromadzić rozproszone szczątki; dnie i noce pracował bez wytchnienia nad dokonaniem odważnie podjętego zadania. Znalezioną gotówkę obrócił na podniesienie przedsiębierstw, a wprawiwszy je w ruch i doprowadziwszy do pomyślnego stanu, sprzedawał korzystnie zatrzymując same tylko huty żelazne, których wartość umiał ocenić.

W ciągu siedmiu lat zlikwidował spadek ojcowski i obecnie był już tylko posiadaczem giserni w Nivernais, którą eksploatował na równi z hutą w Pont-Avesnes, posługując się wyrabianem w tejże żelazem do wytworów giserni. Teraz posiadał już znaczny majątek, zakłady jego rozwinęły się nader pomyślnie, i mógł śmiało większe jeszcze nadać im rozmiary. Kochany i wysoko ceniony w całej okolicy, mógł być pewnym że jeżli zechce stawić swoją kandydaturę, niemylnie zostanie wybrany deputowanym. Któż wie czy tak wysokie stanowisko nie pochlebiałoby kobiecie? a potem wszakże i sam przemysł jest potęgą w obecnym czasie gdy pieniądz tak wielką odgrywa rolę.

I tak powoli znowu nadzieja zaczynała budzić się w jego sercu,—zwrócił kroki ku domowi. Wyszedł z lasu; na prawo roztaczały się łąki zalegające dolinę; na lewo piętrzyły się pierwsze posady skał stanowiących podstawę wzgórza. W tych skałach wykute były wejścia do kopalni; kolej żelazna spuszczała się pochyło ku galeryom, którą dostawiano kruszec wprost do huty.

Nagle przebudzony z zadumy, Filip postanowił zajrzeć do huty dla przekonania się czy praca idzie swoim porządkiem, i zwrócił się ku kopalni. Na małem wzgórzu stała budka kontrolera pilnującego wywozu; Filip szedł do niej. W miarę zbliżania się, zdawało mu się że słyszy jakieś krzyki; niezwykłe zamieszanie i wrzawa panowały przy wejściu do galeryi. Przyśpieszył kroku; w kilka minut doszedł na miejsce i mógł zrozumieć powód niezwykłego zbiegowiska.

Z powodu przesiąkania wody, zawaliła się ziemia pod drogą żelazną, wskutku czego wagony się przewróciły a stosy piasku i osuniętych desek przygniotły konduktora prowadzącego pociąg, piętnastoletniego chłopca. Gromadka robotników i kobiet przybiegłych ze wsi, rozmawiała żywo, a wśród nich stała kobieta, która zawodząc się od płaczu, rozpaczliwie załamywała ręce.

Filip wszedł szybko między zgromadzonych.

— Co się stało? zapytał zaniepokojony.

— Ach! pan Derblay! krzyknęła kobieta zobaczywszy go i płacząc jeszcze głośniej —to mój chłopiec, mój Jakóbek, spadł wraz z wagonem i leży tam przygnieciony już od trzech kwadransów.

— Jakież przedsiębrano środki aby go wydobyć, zapytał prędko Filip zwracając się do górników.

— O ile się dało usunięto ziemię, odrzekł nadzorca oddziału pokazując szeroki otwór, ale bojemy się poruszyć drewnianych podkładów, gdyż najmniejsza nieprzezorność, a wszystkoby runęło druzgocząc biednego chłopca...

— Przed dziesięciu minutami mówił jeszcze do nas, wołała zrozpaczona matka, od owej chwili ani się odezwie, pewnie więc się udusił... Biedny, kochany mój chłopczyna... czyż nie wydobędą go ztamtąd?...

I nieszczęśliwa matka, oszalała rozpaczą, jak bezprzytomna padła na ziemię.

Oddając dubeltówkę któremuś z obecnych, pan Derblay rzucił się na ziemię i przysuwając ucho do otworu pod krzyżującemi się tarcicami, zaczął nasłuchiwać. Głuche milczenie panowało w piaszczystym grobie, w którym leżał Jakób.

— Jakóbie! krzyknął pan Derblay, a głos jego odbił się głuchem, grobowem echem pod nasypem ziemi i drzewa—Jakóbie! czy mnie słyszysz?

Najpierw jęk tylko dał się słyszeć, po chwili jednak doszły uszu jego słabe, urywane słowa:

— Ach! pan jest, pan! O! kiedy tak, jestem ocalony, dzięki niebu.

Tak naiwnie pokładana w nim ufność żywo wzruszała Filipa, i postanowił próbować choćby niepodobieństwa, byle ziścić nadzieję chłopca.

— Czy możesz się poruszać? zapytał.

— Nie mogę, odrzekł słabym głosem... i zdaje mi się że mam nogę złamaną.

Słowa te dosłyszane wśród grobowego milczenia, bolesne wrażenie wywarły na obecnych.

— Nie bój się chłopcze, wydobędziemy cię ztamtąd, rzekł Filip, a zwracając się do zgromadzonych, zawołał:

— Dalej dzieci, chwytać za belkę i podnieść tę tarcicę! i wskazał długą grubą deskę głęboko zagrzebaną i tworzącą jakby gotową dźwignię.

— Niepodobna, panie, odrzekł nadzorca smutnie potrząsając głową, próbowaliśmy już ale wszystkoby się obsunęło. Jeden, jedyny pozostawałby sposób, a to jest aby trzech lub czterech silnych ludzi wsunęło się w wydrążony otwór i próbowało wyciągnąć nieruchomego chłopaka. Jednocześnie z pomocą maszyny podtrzymywalibyśmy osyp—ale to środek nadzwyczaj ryzykowny,—bardzo być może iż raz się tam wsunąwszy, niepodobnaby już było być ocalonym.

— Trudno, próbować trzeba, rzekł stanowczo Filip, patrząc na robotników; twarz jego poczerwieniała widząc że milczą i stoją nieruchomi.

— Gdyby jeden z was tam się znajdował, coby pomyślał o towarzyszach nie śpieszących mu z pomocą? rzekł surowo; skoro wy się boicie, pójdę sam.

I pochyliwszy swą wysoką postać, Filip wsunął się pod gruzy. — Na ten widok krzyk wdzięczności i uwielbienia rozległ się wśród tłumu. I jakby trzeba tylko przykładu aby poczciwym w gruncie ludziskom wrócić odwagę, trzech ludzi wsunęło się za Filipem w otwór, a pozostali żelaznemi lewarami podnosili i podtrzymywali deski, wytężając wszystkie siły.

Znów głęboka zapanowała cisza, przerywana tylko płaczem zrozpaczonej matki i ciężki oddech przygniecionych ciężarem jego wybawicieli. Upłynęło kilka minut, długich jak wiek, w ciągu których życie pięciu ludzi wisiało na włosku, aż nagle rozległ się szalony okrzyk radości. Wszyscy czterej wysunęli się z wydrążenia, powalani ziemią, w poszarpanem odzieniu i z podrapanemi rękami, a Filip niósł zemdlonego chłopca.

Wtem usłyszano straszny trzask; niepodtrzymywane deski całym ciężarem zwaliły się w otwór z którego wyswobodzono Jakóba. Matka jego na wpół bezprzytomna, ściskała na przemian to syna to Filipa; tłum żywo wzruszony milczał, patrząc z rozczuleniem na wybawcę i ocalonego.

— No, zanieścież teraz chłopaka do domu, zawołał wesoło pan Derblay, i niech który pobiegnie po doktora.

Poczem jak mógł poprawił na sobie ubranie i biorąc podaną mu dubeltówkę zwrócił się ku Pont-Avesnes.

Jednocześnie prawie rozeszła się wiadomość o wypadku i ocaleniu Jakóba; odchodząc do kraty pałacowej, Filip ujrzał idących naprzeciw niego Zuzannę i pana Bachelin. Zobaczywszy brata, Zuzanna przyśpieszyła kroku. Ubrana była w jasną suknię, w ręku trzymała takąż parasolkę podbitą różową materyą, chroniącą od słońca śliczną jej główkę. Panna Derblay miała lat siedmnaście, świeża i ożywiona jej twarzyczka, nęciła wyrazem niewysłowionej dobroci i słodyczy charakteru. Ciemne jej oczy uśmiechały się wymowniej jeszcze niż usta. Nie była to piękność klasyczna, ale pociągała urokiem niewinności i niewysłowionym powabem. Ujrzawszy brata, pobiegła co tchu ku niemu i chciała rzucić mu się na szyję.

— Nie przysuwaj się do mnie! zawołał Filip odsuwając ją; cały jestem zawalany ziemią, poplamisz sobie suknię.

— Co mi tam suknia! zawołała z żywem uniesieniem; muszę cię uściskać... ocaliłeś Jakóba. Drogi, kochany Filipie, zawsze znaleźć się musisz gdy tylko nastręcza się sposobność do jakiegoś dobrego, szlachetnego czynu.

I zarzuciwszy ręce na szyję brata, całowała twarz jego i głowę. Wyprzedzony przez Zuzannę Bachelin, nadbiegł zadyszany.

— Tak więc, kochany przyjacielu, trzeba jeden jeszcze piękny czyn zapisać w twoich aktach osobistych...

— Dajcież temu pokój, proszę was, przerwał z uśmiechem Filip, doprawdy nie ma o czem mówić. To najważniejsze że chłopak zranił się spadając; idź więc do matki jego ze swoją apteczką, Zuziu, i zanieś pieniędzy na kuracyą.

— Pójdę natychmiast, braciszku; wszak mam wziąść z sobą Brygidę?

— Naturalnie; my zaś kochany Bachelin, chodźmy do domu; jestem powalany jak nieboże stworzenie, muszę się przebrać.

Przeszli wielki czworokątny dziedziniec osadzony staremi lipami, w pośród którego, otoczona kobiercem kwiatowym wznosiła się wielka fontanna, wysoko w górę wyrzucająca strumienie wody, opadającej jakby drobnym pyłkiem, promieniejącym przez odblask słońca barwami tęczy, który wiatr rozrzucał daleko. Basen ten był to ostatni ślad wielkiej wody, niegdyś dokoła oblewającej pałac. Dawni posiadacze Pont-Avesnes odwrócili wody rzeki Avesnes; jeszcze za Ludwika XIII, urządziwszy upust, opróżniono fosy, a muda zapełniająca ich dna, pomieszana ze sprowadzoną wielkim kosztem ziemią roślinną, utworzyła grunt nadzwyczaj żyzny i urodzajny, na ktorym posadzone wówczas drzewa owocowe, po dziśdzień podziwiane są w Pont-Avesnes. Dotąd przechowały się tam blizko dwuwiekowe grusze i brzoskwinie, wydające owoce sławne na całą okolicę.

Pałac wzniesiony na dość wysokiem podmurowaniu, panuje nad okolicą, ale jest smutny i ponury; łupkowy dach jego posępnie się przedstawia. Filip urządził sobie na mieszkanie jedno skrzydło wielkiego pałacu, zresztą cały gmach stał zamknięty, i byłby zupełnie zaniedbany, gdyby nie staranność Brygidy, mlecznej siostry Zuzanny, która choć tak młoda jeszcze, doskonale wywiązywała się z obowiązków zarządzającej całym domem.

(D. c. n.)



N. 1. Litera haftowana atłaskiem.

Opis do N. 39.

(Dokończenie.)

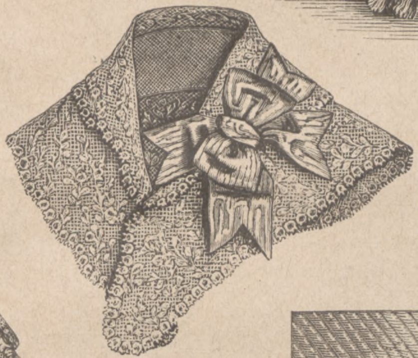
N. 17. Kapelusz z cienkiej florenckiej słomki, ubrany strusiemi piórami i rzymskim rumiankiem. Duże, okrągłe, na czoło spuszczone rondo, podszyte kremowem surah.

N. 18. Kapelusz z białej brukselskiej słomy, naszyty z wierzchu na brzegu ronda ciemno lila aksamitką; druga aksamitka przez wierzch główki przeciągnięta i agrafami przepięta związana z boku pod brodą. Długie lila strusie pióro przypięte pod aksamitką; rondo podszyte koronką kremową.

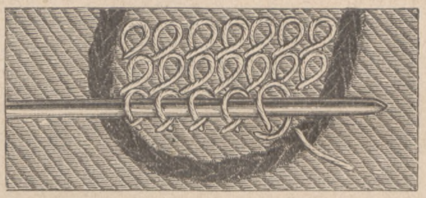
N. 19—22. Ubrania salonowe.



N. 3. Poduszka do kanapy. Patrz ryc. 4—5.



N. 6. Kołnierz chusteczkowy z koronki.



N. 4. Wyszycie ściegu w pentelki do ryc. 3.



N. 8. Paltocik dla dziecka lat 2—4.



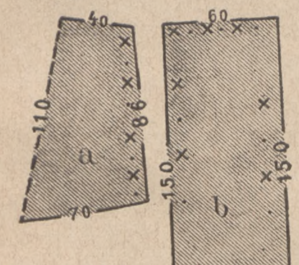
N. 11. Plecy do r. 2 w N. 38. Patrz r. 12.



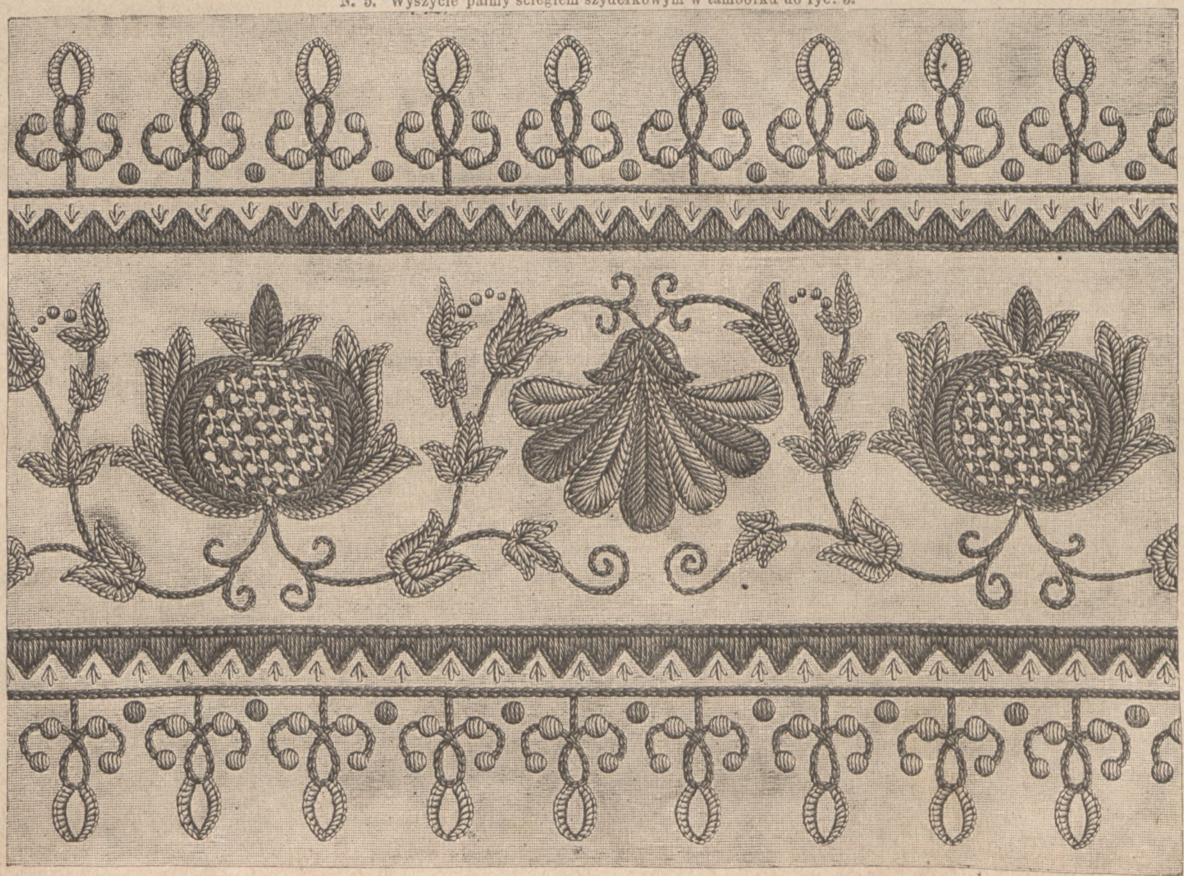
N. 5. Wyszycie palmy ściegiem szydełkowym w tamborku do ryc. 3.

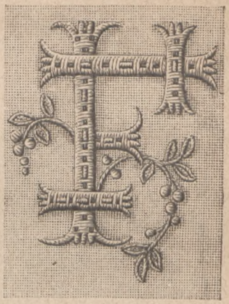
N. 19. Suknia z frakowem vêtement.

Na modelu spódnica plisowana i stanik bez rękawów, z tyłu na haftki zapinany, odrobione były z blado-różowego kaszmiru. Ten ostatni na gładkiej do figury dopasowanej podszewce, przemarszcza się 3—4 razy przy szyi, zostawiając dość szeroki nagłówek, a na wcięciu w pasie układa w fałdki. Krótki bawet z przodu opasany wstążką aksamitną, do boczków vêtement przyszytą i na kokardę z długiemi końcami związaną. Frakowe vêtement bufiasto z tyłu podpięte, odrobione było z oliwkowo zielonego kaszmiru, przerabianego w rzucik jedwabny różowy. Z pod stanika z tyłu kolisto z przodu w głęboki ząb wyciętego, wyglądał stanik marszczony różowy. Przody vêtement trochę przy spięciu przyfałdowane, zapięte są tylko bukiecikiem z kwiatów; rękawy wązkie za łokieć, zakończone wywiniętym mankietem różowym.



N. 12. Krój tuniki do r. 11.

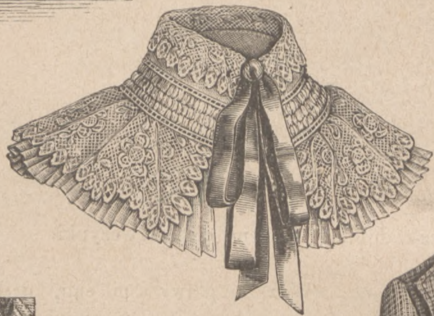




N. 2. Litera haftowana biało i zdobna kolorowemi ściegami.

N. 20. Suknia z chusteczkowem ubraniem stanika.

Spódnica może być w koło fałdowana lub gładka, u dołu garnirowana, z przodu ozdobiona draperyą oszytą koronką, z boków krótko podpiętą, z tyłu jednym brytem wązko i suto upiętym dopełnioną. Stanik plisowany, zapięty z tyłu, układa się na gładkiej podszewce, krótkie, fałdowane z tyłu kokardą spięte panier, oszyte koronką. Fason chusteczki stanowi duży, okrągły kołnierz przykrojony ze sztywnego tiulu, naszyty dwoma lub trzema rzędami marszczonej koronki, do którego z przodu dodaje się dwa skośnie ukrojone końce z koronkowego tiulu, 20—25 c. szerokie, sfałdowane i do przednich brzegów kołnierza przyszyte. Jeden z nich przypina się z prawego boku na wcięciu w stanie, drugi lekko przez wierzch przełożony przypięty jest przy lewem ramieniu kokardą ze wstążki. Wykrój szyi ogarnirowany koronką, opasany wstążką złączoną trzecią kokardą.



N. 7. Kołnierz z muślinu i koronki.



N. 9. Sukieneczka z szarfą dla dziecka lat 2—4.



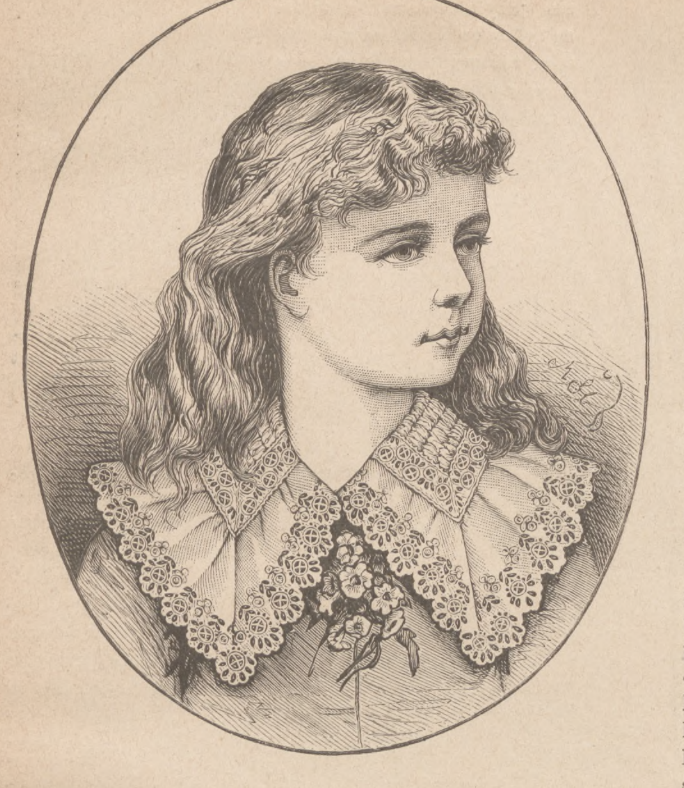
N. 10. Przód do ryc. 40 w N-rze 38.

N. 21. Suknia z garnirunkiem w pukle podpinanym.

Ładna, strojna i niezwykłym sposobem odrobiona suknia, była z gładkiego kremowego surah, i z takiego fularu w rzucik czerwony. Spodnica oszyta była szeroką drobno plisowaną falbaną, na którą zachodziła gładko spuszczona fularowa tunika, u dołu w zęby z pukli za-



N. 13. Krój draperyi do ryc. 40.



N. 15. Kołnierz ozdobiony haftem, dla dziewczynki.

kończona. Pukle 10 cent. szerokie przecinają się w tunice, podszywają czerwonym atłasem, i składają do spodu sposobem wskazanym na ryc. 21. Dół bawetowego stanika zakończony takiemi puklami i szeroką podwójnie złożoną bufą zachodzącą na krótkie panier z surah, zakończone z tyłu sutą krótką draperyą. Do mocno wyciętego, z tyłu zapinanego stanika z krótkiemi bufowanemi rękawkami dodana szmizetka chusteczkowa z gazy jedwabnej, albo z indyjskiego muślinu. Na rękawkach przepięcia puklowe. Na jednem ramieniu kokarda z długiemi końcami; we włosach i przy staniku gałązka kwiatów.

N. 22. Suknia ze stanikiem wyciętym w karo.

Model odrobiony był z adamaszku i atłasu czarnego, fason ten jednak służyć może do tańszych materyałów; jak satynka lub fular gładki i deseniowy. Spódnicę deseniową robi się bez garnirunku, tylko bryty tylne układa się w kontrafałdy. Panier z atłasu ściśle z przodu sfałdowane i pod bawet podsunięte, dopełnia draperya z bryta prostego od dołu przyszytego odwracanym sposobem. Do stanika dodany kołnierz stojący hiszpański, w który wszywa się druciki a brzeg oszywa perłami. Wązkie rękawy z małemi, perłami oszytemi epoletkami; sznury z pereł przy bawecie i na sukni upięte sposobem wskazanym na ryc. 22.



N. 17. Kapelusz zdobny piórami i kwiatami.

N. 23—25. Ubrania spacerowe.

N. 23—25. Ubranie z vêtement, przedstawione z przodu i z tyłu na ryc. 23 i 25 z odmiennego materyału, ma spódnicę zagarnirowaną 5 plisowanemi lub w kontrafałdy układanemi falbankami, prawie całkiem pokrytemi marszczoną koronką. Do stanika z baskiną dodane panier spiczasto spuszczone od dołu; do przodów dodane aksamitne części kamizelkowe, wystające od dołu i zachodzące na panier. Do plecków dodana fałdowana baskina podszyta gładką materyą, oszyta koronką i podpięta w górę podług ryc. 23. Dwa bryty proste stanowią tylną draperyę, tylko w górze trochę podpiętą, z boków pod panier zachodzącą, a do dołu luźno spuszczoną. Mankiety i kołnierzyk aksamitny, koronką oszyty.

N. 24. Suknia ze stanikiem z krótką baskiną.

Spódnica u dołu oszyta jest plisowaniem i falbaną w kontrafałdy ułożoną, w górze do $^2/_3$ długości w drobne fałdy zastębnowana, dalej luźno puszczona. Stanik z krótką baskiną, tylko pod szyją spięty, dalej otwarty, dopełnia szmizetka w górze drobno plisowana, na wcięciu, w pasie przemarszczana, dalej w dwie płaskie bufy ułożona, z których ostatnia zachodzi z boków na krótkie panier, z tyłu pod kokardą spięte. Haft albo koronka wywinięta, zdobi stanik i rękawy.

N. 26. Suknia ozdobiona haftem.

Szerokie haftowane szlaki zdobią suknię z ciemnej, gładkiej satynki, której spódnica składa się z dwóch wolantów ułożonych w kontrafałdy. Tunikowa draperya oszyta wolantem układanym w pótrójne kontrafałdy, na których powierzchni dany haft, z boku podpięta jest sznurami a z tyłu dopełniona upięciem z prostego bryta. Do stanika z baskiną, dodane części kamizelkowe; parasolik haftowany z tego co suknia materyału.



N. 21—22. Strojne ubrania.

N. 21. Suknia wieczorna zdobna puklami. N. 22. Suknia zdobna sznurami pereł.



N. 23—26. Suknia spacerowe.

N. 23. Suknia z vêtement à panier. Patrz ryc 25. N. 24. Suknia z krótkim stanikiem.



N. 19. Suknia z frakowem vêtement. N. 20. Suknia z chusteczką koronkową



N. 18. Kapelusz zdobny aksamitką i piórami.

N. 27. Suknia oszyta aksamitką.

Otwarte przody krótkiego vêtement, zachodzą na drobno plisowaną szmizetkę; na głębokie zaszewki i idące od nich fałdy trzeba dodać materyału, boczne brzegi przodów sfałdować krótko jak panier i zeszyć z długą, gładką baskiną pleców, na której daje się odwracanym szwem do dołu przyszyte krótkie, sute upięcie. Przód i boki spódnicy składają się z dwóch nierównej szerokości plisowanych wolantów, szytych ciemniejszemi aksamitkami, 3 i 6 cent. szerokiemi. Bryt tylny upięty w draperyę. Stanik zapina się z boku na kryte haftki.

N. 28. Suknia ozdobiona sznurami,

odrobiona była z wełnianego materyału w kolorze *maron* i z jedwabnego batystu, haftowanego w maszynie, jedwabiem takiego samego koloru, z którego zrobiona była spódnica oszyta u dołu dwoma wązkiemi, plisowaniami i sutu riuszą z gładkiego materyału. Paltocikowe przody vêtement, są u dołu na ranwers odwinięte, i przypięte agrafą z jedwabnego sznura. Bardzo sutą draperyę z tyłu upina się z dwóch długich brytów oddzielnie ukrojonych i na baskinie przyczepionych. Kołnierzyk aksamitny stojący, na ramieniu sznury idące od środku przodów.



N. 16. Kołnierz oszyty koronką, dla młodej panienki

N. 29. Czepeczek negliżowy ozdobiony szpilkami.

Czepeczek robi się ze skośnego kawałka indyjskiego muślinu mającego 100 centym. długości a 22 środkowej szerokości, na czółku ze sztywnego tiulu, 26 centym. długiem w ząb ściętem, w środku 8 centym. szerokiem. Muślin z jednego brzega w środku trochę kolisto a do brzegów spiczasto ścięty, oszywa się w koło koronką saską 5 centym. szeroką, składa w podłużne fałdy, upina na czółku sposobem wskazanym i zdobi szpilkami z główką małą perłową. Przedni brzeg czółka ogarnirować plisowaną koronką.

N. 33 i 34. Bluzki

z satynki, surah lub innego gładkiego materyału, które młodziutkie panienki nosić mogą do odmiennych, jasnych spódnic a damy do takich jak bluzka.

N. 35. i 36. Dwie kokardy do sukien lub okryć.

N. 40 i 13 oraz 13 w N. 38. Suknia z draperyą koronkową.

Strojna suknia odrobiona była z blado zielonego repsu i z aksamitu pawiego koloru. Na spódnicy repsowej pięknie odbijała draperya z koronki koloru ficelle i koronkowe falbany takiegoż koloru. Dolny garnirunek stanowi falbana aksamitna i zachodząca na nią falbana koronkowa, i suta riusza z repsu układana w potrójne lub poczwórne kontrafałdy. Na ryc. 13 w N. 38 dajemy oddzielnie spódnice i wskazujemy sposób upięcia bryta tylnego spadającego w fałdach aż na aksamitną falbanę od dołu. Ryc. 13 w N. 39 przedstawia mały model i miary draperyi; podług litery *a* kraje się draperyę przednią koronkową u dołu ogarnirowaną koronkową fal-



N. 25. Suknia z vêtement à panier. Patrz ryc. 25. N. 26. Suknia ozdobiona haftem.



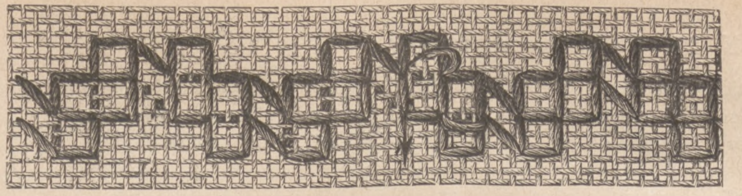
N. 27—28. Ubrania spacerowe.

N. 27. Suknia zdobna aksamitkami. N. 28. Suknia zdobna sznurami.



N. 29. Negliżyk przepięty szpilkami.

baną, a podług litery *b* długi, repsowy bryt tylny, który en składa się i zeszywa w środku gwiazdką do gwiazdki, a w górze układa w fałdy podług ryc. 13. w N-rze 38. Pod takie upięcie z tyłu, konieczna jest dość długa turniura, przyszyta od spodu. Stanik aksamitny z tyłu i z przodu bawetowo zakończony i koronką oszyty, dopełnia szmizetka koronkowa.



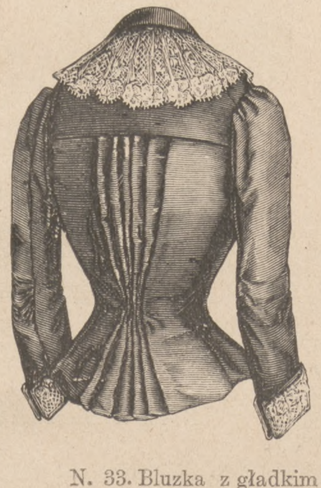
N. 31. Wyszycie szlaczka do ryc. 24.

N. 41. Suknia z haftowanemi falbankami.

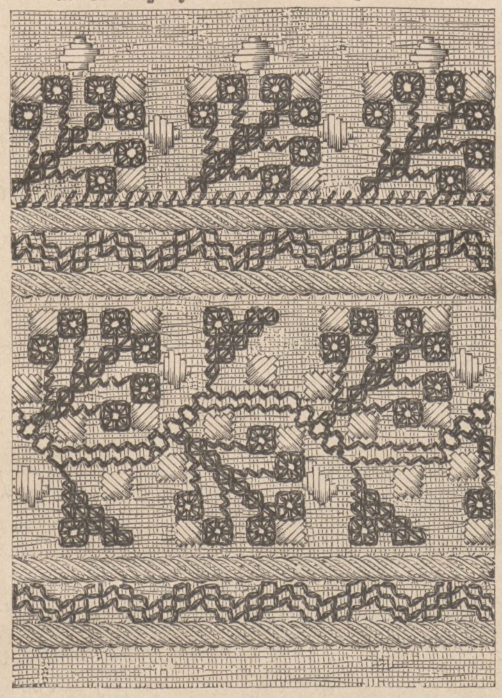
Uszyta z oliwkowej satynki, grubej gazy koloru ficelle i haftowanych falban, bardzo łatwa jest do odrobienia. U dołu spódnicy dane wąziutkie plisowanie z satynki, wyżej cztery falbany po 20 cent. szerokie, zakrywyjące spódnicę aż do tuniki. Krótka tuniczka fartuszkowa dopełniona z tyłu prostym brytem suto podpiętym lub szeroką szarfą. Przy staniku z baskiną dana szeroka kamizelka, w rękawy wszyta wstawka haftowana.



N. 30. Negliżyk z koronki i wstążki.



N. 33. Bluzka z gładkim paskiem.



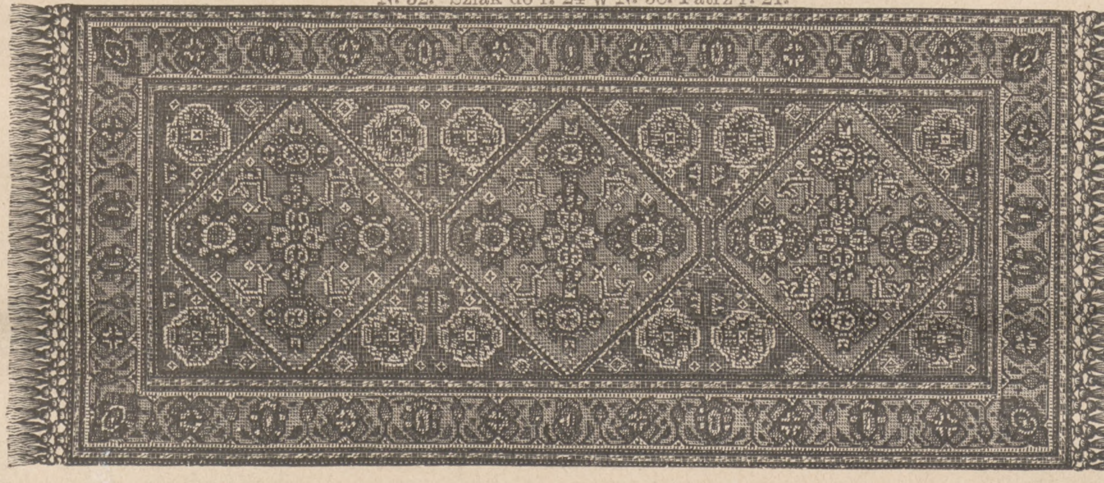
N. 32. Szlak do r. 24 w N. 38. Patrz r. 21.



N. 34. Bluzka z przemarszczeniem.



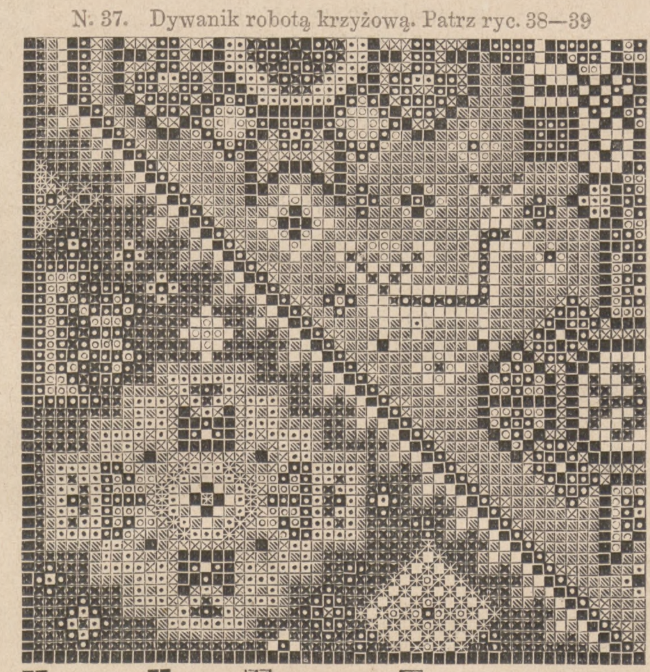
N. 35. Kokarda do sukni.



N. 37. Dywanik robotą krzyżową. Patrz ryc. 38—39



N. 36. Kokarda do sukni.

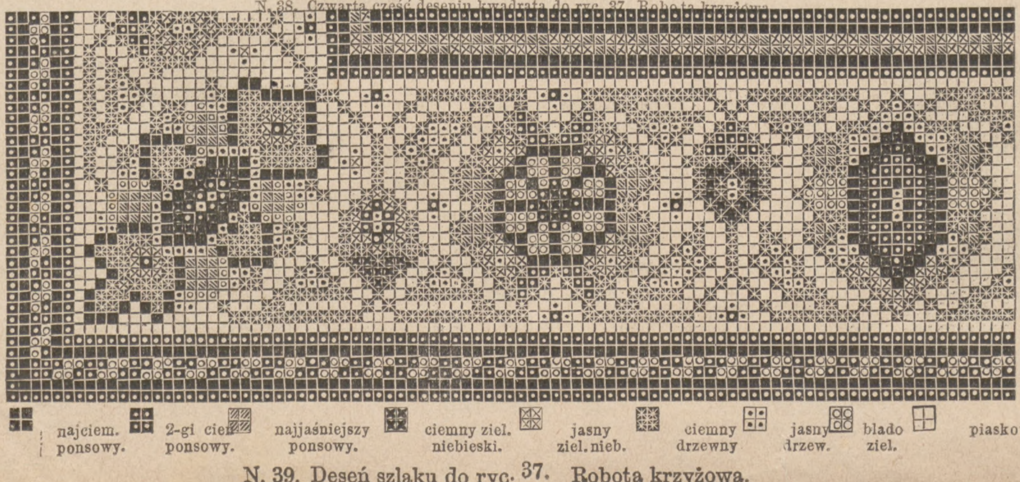


Najciem. ponsowy. 2-gi ciem. ponsowy. najjaśniejszy ponsowy. ciemny zielonawo-nieb. jasny zielonawo nieb. ciemny drzewny. jasny drzewny. blado zielo. piaskowy.

N. 38. Czwarta część desenju kwadrata do ryc. 37. Robota krzyżowa.



N. 40. Suknia z koronkową draperyą. Patrz ryc. 13 w N. 38.



najciem. ponsowy. 2-gi ciem. ponsowy. najjaśniejszy ponsowy. ciemny ziel. niebieski. jasny ziel. nieb. ciemny drzewny jasny drzew. blado ziel. piaskowy.

N. 39. Deseń szlaku do ryc. 37. Robota krzyżowa.



N. 41. Suknia z haftowanemi falbanami.



Pl. 515.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.